Nr. 27. Poznań, niedziela 5-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Po zlocie Sokołów w Krakowie.

Kraków 30 czerwca.

Skończył się generalny egzamin Sokolstwa polskiego w Krakowie, a — powiedzmy to z góry i bez zastrzeżeń — gimnastycy nasi wyszli zwycięzko z próby ogniowej. Widzieliśmy rutynowanych „Turnerów“ niemieckich, witających żywemi oznakami zadowolenia popisy polskich Sokołów, a z loży generalicyi krakowskiej, z panem Albiorim na czele, odzywały się grzmiące oklaski w obec imponującej zręczności, precyzyi i siły ćwiczeń na boisku. W górze zaś, na wieży, stał w czerwonej koszuli, z trąbką w ręku, naczelnik związkowy Antoni Durski, i śląc swe komendy w niziny, z dumą spoglądał na dzieło, które jego jest głównie dziecięciem. W takich chwilach ludzie chętnie wstecz się cofają pamięcią, i oto jeden z osiwiałych druhów, zapatrzony w twórcę sokolstwa polskiego, tak mówił do nas: Gdy przed 25 laty człowiek ten zaczął na lwowskim bruku apostołować ideę sokolstwa, i szerząc kult ćwiczeń fizycznych, wołał bezustannie, że tylko w zdrowem ciele zdrowy duch mieszkać może, to ludzie spoglądali na niego jak na awanturnika i maniaka. Poważni obywatele nie chcieli przyznawać się do jego znajomości, inni traktowali go z lekceważeniem, wzruszając ramionami, a on nieugięty z najwyższem poświęceniem i zaparciem porzucił karyerę naukową i całe życie swoje w sokolstwie umieścił. Jakże dumnym być może ten człowiek spoglądając dzisiaj na dzieło swoje, na te tysiące mundurowych druhów, na to boisko rojne, na ten wspaniały popis siły i zręczności. Wiara jego, zapał i wytrwałość cudów dokazała, — czem Jahn dla Niemców, tem Durski stał się dla Polaków.

Tak mówił do nas jeden z najstarszych gimnastyków polskich. Siwizna posrebrzyła mu włosy, zmarszczki poorały czoło, a on silny i młody stąpał w szeregu, stawał do ćwiczeń i zadziwiał zręcznością swoją. Nasi gimnastycy poznańscy spoglądali z zazdrością na tego starca i na mnóstwo innych głów siwych, bielących się na boisku, bo u nas niestety przekonanie o doniosłości ćwiczeń cielesnych i korzystnym ich wpływie na organizm fizyczny i moralny człowieka jeszcze za mało owładnęło społeczeństwem, by starsze generacye w Sokołów zamienić. Nasze Sokoły to młodzież, i tylko wyjątkowo ukazuje się w ich szeregach człowiek w dojrzalszym wieku, choć, jak słusznie zauważył jeden z mówców zlotowych, sokolstwo jest owem cudownem źródłem odmłodzenia, o którem mówią stare legendy.

I co głównie zadziwiało w zlocie krakowskim, co mianowicie podziw budziło w niemieckich „Turnerach“, to owa powaga, karność i ład manifestujący się nietylko na boisku w zastępach ćwiczących, lecz w wielkim pochodzie mundurowych druhów przez ulice podwawelskiego grodu. Przeszło 2000 Sokołów stanęło w szeregach, łączyło się i rozwijało w wzorowym porządku, — zdawało się, że te z przeróżnych stron napływające szeregi są wielką maszyną, którą w ruch wprawia jedna sprężyna. Wszystkie kółka funkcyonowały prawidłowo, nigdzie ambarasu, nigdzie opieszałości, lub zamieszania, każda komenda w mgnieniu oka w czyn się zamieniała. Obawiano się, że na rynku krakowskim, gdy długa linja pochodowa łamać się zaczęła w kolumny, stające frontem do Maryackiego kościoła i czekające na sztandary swoje, nastąpi jakie powikłanie lub zamęt, — lecz i tu dzięki dokładnym planom, kierownictwu naczelnemu i rutynie poszczególnych naczelników żaden hufiec nie zmylił szyków przepisanych. Porównując ten wzorowy porządek sokolskich pochodów i ćwiczeń z generalnemi zjazdami niemieckich Turnerów, wstydzić się nie mamy powodu. Gimnastycy germańscy przewyższają nas niewątpliwie liczbą i doskonałością swych ćwiczeń przyrządowych, lecz w ich pochodach króluje „deutsche Gemütlichkeit“ a rozstawieniu i wolnym ćwiczeniom brak tej sprężystości i zdumiewającej precyzyi, która cechuje sokolstwo polskie. Nie wdajemy się tu w krytykę drobnych usterek, których oczywiście i na zlocie krakowskim nie brakło, pozostawiając ściślejszą ocenę fachowym organom gimnastycznym, — to jednak bez przesady przyznać musimy, że igrzyska niedzielne i poniedziałkowe były nową etapą w rozwoju sokolstwa i szeregiem świetnych dowodów jego rozkwitu.

Jedno tylko w tym zlocie najświeższym nieco przykre na wszystkich przybyszach wywierało wrażenie, — dziwna obojętność, niemal chłód miejscowej publiczności. Ten gród podwawelski tak często spogląda na różne kongresy i uroczyste obchody, że zobojętniał i zastygł w zimnej rutynie. Napływowe żywioły wnosiły entuzyazm, — sam Kraków pozostał chłodnym. Zaledwie jedna ulica przybrała się w odświętne szaty, zaledwie gdzieniegdzie padały kwiaty pod nogi sokołów, zaledwie tu i owdzie brzmiał oderwany okrzyk radości i zapału. Lwów inaczej wita swoich gości, — to czuli wszyscy uczestnicy zlotu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sokolstwo zaboru pruskiego iść nie może z Galicyą w zawody, i jasnem jest, że sierpniowe igrzyska w Poznaniu będą zaledwie miniaturą krakowskiego zlotu. To przekonanie wyrażamy jednak już dzisiaj, że miasto nasze serdecznie, z zapałem i miłością witać będzie dziarskie drużyny, składając tem samem dowód, że oceniać zaczyna należycie doniosłość zasady: „W zdrowem ciele zdrowy duch“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Uwięzienie Piotra Chmielowskiego. Do „Nowej Reformy“ piszą z Warszawy:

„Z uczuciem żywego zadowolenia pospieszam wam donieść, że Piotr Chmielowski został 19 bm. po sześciodniowem uwięzieniu wypuszczony na wolność. Śledztwo wykazało najzupełniejszą niewinność aresztowanego, wskutek czego władze żandarmskie nie czyniły przeszkód w uwolnieniu więźnia, którego aresztowanie wywołało tak wielkie wrażenie i tak powszechną panikę w Warszawie.

Dziś gdy nie tajną jest nikomu sprawa, która aresztowanie Chmielowskiego spowodowała, zdumiewać się istotnie przychodzi, jak błachych potrzeba żandarmom tutejszym poszlak, aby podjąć śledztwo, rewizyę i aresztowanie. Uwięzienie Piotra Chmielowskie-

go zarządzone zostało wskutek doniesienia i na rekwizycyę żandarmów w Lublinie, którzy przejęli list pisany przez jednę z uczennic p. Swołyńskiej do siostry w Lublinie. W liście tym uczennica donosiła między innemi szczegół: „gdyby żandarmi wiedzieli, co tutaj u nas wykłada Chmielowski, to i nas i jego zamkniętoby w cytadeli.“

List zawierający takie zdanie pensyonarki, był dla żandarmów zupełnie wystarczającym dowodem winy. Warszawska żandarmerya zna dokładnie lojalność i cichą, mrówczą pracę Chmielowskiego, który władzy nigdy nie dał powodu do dochodzeń i znany jest ze swego spokojnego i rozważnego postępowania, była jednak zmuszoną rozpocząć śledztwo, a znanej gorliwości żandarmskiej przypisać należy, że chociaż przy rewizyi żadnych zgoła kompromitujących ani podejrzanych papierów nie znaleziono — znakomitego uczonego naszego aresztowano i w cytadeli osadzono.“ (Fałszem więc było doniesienie organu ugodowców stańczykowskich, że Chmielowskiego wcale nie osadzono w cytadeli. „Czas“ widocznie chciał w ten sposób zmieszyć wrażenie, wywołane aresztowaniem Chmielowskiego. Przyp. Red.)

* * *

Proces polityczny. W „Gazecie Toruńskiej“ czytamy:

„Pod nagłówkiem „Polskie Towarzystwa pod pruską policyą“ rozpisuje się „Katolik“ w kilkułamowym artykule o procesie, który toczył się w poniedziałek przed Izbą karną w Bytomiu. Chodziło o to, czy policya ma prawo uważać Towarzystwo przemysłowców w Katowicach za polityczne. Przewodniczący Towarzystwa p. Lewandowski odmawiał policyi informacyi, jakich ona ma prawo żądać od politycznych Towarzystw i skutkiem tego skazany został przez sąd ławników na 100 marek kary i koszta. Izba karna po ciekawych rozprawach, z których zdaje sprawę „Katolik“, odrzuciła rewizyą. Jako świadkowie stawali burmistrz Kosch i komisarz policyjny Ludwik. Z zeznań ich podajemy najcharakterystyczniejsze:

W Towarzystwie omawiano rzeczy, które szerzą przeciwieństwo do „panującego narodu i języka“. Świadek przytoczył jeszcze kilka szczegółów, z których dla niego wynika, że Towarzystwo jest polityczne. Otóż przewodniczący p. L. i inni członkowie kazali się przy spisie ludności zapisać jako Polacy, chociaż nie są nimi, jak p. Kosch twierdzi. P. Kosch żałował, że to dopiero później spostrzegł i już nie mógł zbadać którzy z członków oświadczyli się przy spisie ludności za polską narodowością. Przewodniczący pisze w pismach do policyi zawsze „Katowice“ (zamiast „Kattowitz), Zając (zamiast Zajonz), Moczygęba (zamiast Motschigemba) i ma stosunki z Polakami w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu itd.

Na końcu zeznał p. Kosch, że on sam nigdy na wyżej wymienionych zebraniach nie był, nie zna języka polskiego i wszystko, co tu zeznał, wie li tylko z opowiadań swych urzędników.

Komisarz policyi Ludwik odwołał się na akta i „berychty“, przyznając, że nie zna dobrze języka „wysoko-polskiej mowy“, nawet nie mówi dobrze zwyczajną gwarą, więc miał na posiedzeniach przybocznego policyanta, o którym sądzi, że zna polską mowę.

Po świetnej obronie ze strony adwokata i oskarżonego, który oświadczył, że Towarzystwo jest niewinne, za jedyną zbrodnią jego w oczach policyi uważa on używanie języka polskiego przy obradach, zawyrokował sąd, że apelacya została odrzuconą. Dyrektor sądu Stelle uzasadnił wyrok tak:

Nie ulega wątpliwości, że towarzystwo ma na celu wielkopolskie dążności i że zajmowało się sprawami publicznemi. Obchód 3 maja jest czynem politycznym. Tymczasem są tutaj Niemcy i Prusacy, a nie Polacy, więc czyn oskarżonego uważa sąd za sprzeciwianie się powadze prawa, co powinno być surowo karane. P. Stelle żałował, że nie można za to przekroczenie p. L. wyżej ukarać.

* * *

Wojna księży z „Katolikiem“. W bytomskim „Katoliku“ czytamy:

„Nowy kwartał się zbliża, — więc też znowu w niektórych parafiach kwitnie agitacya przeciw „Katolikowi“. Wydawnictwo nowej gazety rozesłało zachętę do księży, ażeby popierali przedsiębiorstwo. Gdyby tylko to czyniono, „Katolik“ nicby nie powiedział, bo każdemu wolno zalecać gazetę, jaką chce. Lecz niektórzy księża idą dalej i z miejsc poświęconych występują przeciwko „Katolikowi“, wojując bardzo nieoględnemi słowami. Skutkiem tego zmuszają „Katolika“, że w obronie swojej głos czy sam, czy przez korespondentów zabiera. Co z tego wzajemnego zwalczania wyniknie, niech spadnie na tych, którzy nam spokoju nie dadzą.“

* * *

Barnum-Koźmian. W „Kuryerze Lwowskim“ czytamy:

„Pomówimy dzisiaj o mistrzach reklamy. Amerykanie mieli w tym zakresie znakomitość w Barnumie, głośnym właścicielu menażeryi i muzeum osobliwości, i my mamy w p. Koźmianie, który znów ze swoją... czelnością w reklamowaniu samego siebie, sam zasługuje na umieszczenie w muzeum osobliwości. Książka jego o roku 1863, pod względem literackim bez wartości, bo napisana nudno a stylem niedbałym, pozbawiona śladu nawet krytycyzmu, bo składa się z poprzepisywanych dosłownie artykułów i korespondencyi „Czasu“, jak to udowodnił K. Bartoszewicz, spotyka się z oceną najrozmaitszych pism obcych; przeważnie niemieckich. Dzieje się to w sposób bardzo prosty. P. Koźmian ma zawsze w zapasie kilka entuzyastycznych recenzyi własnego dzieła; owóż skoro się zjawi jakiś wiedeński półliterat, potrzebujący protekcyi możnej kliki Koźmianowskiej, autor „Roku 1863“ daje mu jeden z zapasowych feljetonów, każe go podpisać, lub co najwyżej przetłumaczyć i umieścić, w którem z usłużnych pism wiedeńskich. A potem powtarza się zjawisko, na które już Bismark podczas powstania zwrócił uwagę. Powiedział on razu mianowicie, że to dziwne, iż wszystkie telegramy przesadne o zwycięztwach powstańców, są na przemian podpisywane „Koźmian“

JÓZEF PELADAN.

Walka byków.[1]

Było to w jedną z tych lipcowych niedzieli, gdy zawieszenie codziennej pracy wespół ze skwarnem gorącem atmosfery, przemienia Langwedocyę w krainę Wschodu.

Ciemno lazurowe niebo, jednolitej barwy, bez cieniów i chmur, rozciągało się tak olbrzymie, sztywne nowością welum, ponad jaskrawą wyspą miasta, martwo cichego w blaskach palącego je słońca.

Od kamieniami wyłożonych ulic, od murów domostw odbijało się światło, a we wgłębieniu bram, gdzie trochę kryło się cienia, leżały dyszące psy, zmęczone dusznością i ogniem południa.

Kolejno na wszystkich zegarach miasta Tyfonii[2]) wybiła godzina pierwsza, godzina odpoczynku po ukończeniu śniadania, w której mieszkańcy, chroniąc się w najchłodniejsze zakątki swych siedzib, oddają się powolnemu trawieniu. Lecz oto co chwila poczynają się ukazywać na ulicach miasta odświętnie przybrane postacie robotników, drobnych przemysłowców, dążąc wszystkie w jednym kierunku. Ludzie ci byli weseli i raźni, pomimo nurzącego upału. Nawoływali się wzajemnie, rozprawiali gestykulując i w miejscowem narzeczu wrzeszczeli na całe gardło: «Niech żyją byki!»

Ze wszystkich ulic ludność spływała na szeroki bulwar otaczający miasto. Coraz gęściej i gwarniej wytaczały się na bulwar nowe gromadki ludzi. Stare kobiety, starcy wiodący dziatwę, całe rodziny, pensyonaty. Tłum ten dążył jakby na obchód jakiegoś święta narodowego lub regaty.

Od strony dworca kolei żelaznej nadciągnął tłum nowy, złożony z przybyszów z okolicy a nawet ze stron dalszych, mieli oni przez ramiona przewieszone torby lub lornetki. Miejscowi mieszkańcy spoglądali na nich z promieniejącą dumą, pysznili się, że Tyfonia przyciągnęła tak liczny zastęp obcoprzybyszów.

Falujące morze ludzkie zatrzymywało się w biegu wzdłuż murów olbrzymiego amfiteatru i drżało z niecierpliwości przed zamkniętemi jego bramami, jakby z obawy, czy ławy rzymskiego cyrku, mocno zbudowanego na pomieszczenie dwudziestu tysięcy widzów, obejmą cisnących się barbarzyńców.

Nieco na stronie stał młody, smukły brunet w białem letniem ubraniu i patrzał na zwiększające się zbiegowisko. Zdawał się liczyć przybywających i nie spuszczając oczu zapatrzonych w ludzką zgraję, mówił coś głosem zdławionym, urywanym, a słuchający go towarzysz, wiekiem młodszy i życzliwy tłumowi, powstrzymywał go i hamował.

— Czego żądać można, czego się spodziewać, jaką ideją natchnąć te zbydlęciałe istoty? Nic oni lepszego dać nie mogą. Czy słyszysz, Marestanie? .. nic.

— Mylisz się... mają namiętne żądze, więc gwałtownych potrzebują widowisk... barbarzyńskich, jak je nazywasz... lecz patrząc na nie, zaostrzają się sami do walki... a walka ta szlachetne może mieć cele... Każda kraina ma swoje obyczaje; poczekaj, sam zobaczysz, wszak nie znasz i nie wiesz, ile jest tragizmu i ile jest plastycznego piękna w walce byków.

— Jesteś poetą, mój kochany. Zamiast myśleć, odczuwasz... albo też jesteś ciasnym prowansalskim patryotą.

Brunet strofujący w ten sposób swego towarzysza, miał łagodne wielkie oczy o powiekach w poważne ujętych linie; czarne włosy wiły mu się obficie na głowie, dokoła policzków i brody; mógł mieć lat dwadzieścia i pięć, lecz moralnie znacznie był dojrzalszy. Zakres jakości umysłowej tworzy odmienne stopniowanie ludzi, aniżeli ich wiek lata. Patrzał on na zbiegły tłum, nie widząc malowniczości tego widoku, lecz obliczając i ważąc jego siłę, marnie w danym wypadku nagromadzoną, żywą, potężną, lecz bezcelową, jak katarakta spływająca z jej szczytu i nieujęta w karby regulujące energię.

Towarzysz jego był prawie gołowąsy

[1]) Utwór powyższy jest wyjątkiem z większego dzieła pt: „La decadence latine.“

[2]) Tyfonia, o ile się zdaje, ma oznaczać według myśli autora, miasto Nimes.

albo „Stanisław". Owoż tak samo teraz, skoro pojawi się w którem z pism, np. wiedeńskich, sforsowana tak recenzya „Roku 1863", do pism konserwatywnych w Galicyi lecą telegramy, podpisywane albo „Stanisław", jeśli pismo nie jest czysto stańczykowskie, albo wprost już otwarcie „Koźmian", jeśli dziennik jest miłym sercu jego. Nazajutrz telegramy ukazując się w druku, robią wrażenie „dreszczu radości", jaki przechodzi prasę polską na widok powodzenia p. Koźmiana.

Powód do tych uwag dała nam świeżo w „N. W. Tageblacie" zamieszczona ponowna recenzya książki Koźmianowskiej, niewątpliwie takie samo jak dawne źródło mająca. Przy tej sposobności przypominamy parę jaskrawych tego rodzaju faktów tutejszy organ lenderbankowski np. onego czasu zamieścił wielofejletonową recenzyę pamfletu Koźmiana, w sposób poprostu bezczelny palącą kadzidła dla jego „geniuszu". Dla przyzwoitości firmę tej recenzyi dał pewien młody adwokat, potrzebujący protekcyi, a łaknący karyery, tak, że dla niej zrobił nawet „interes z religiią". W rzeczywistości jednak recenzya nietylko była duchową własnością Koźmiana, lecz w trzech czwartych napisana była własną jego ręką!

Albo pamiętne jest oburzenie, jakie się objawiło w społeczeństwie ukazaniem się falsyfikatu „Lisystraty" aristofanesoskiej, dokonanego przez Koźmiana. Słuszność przyznać każe, iż ze względów moralności najostrzej go atakowali jezuici. W obronie Koźmiana nieśmiało stawał „Czas", a namiętnie pewne pisemko humorystyczne we Lwowie, gdzie się pojawiały zjadliwe „Listy Marceliny do Figara", wielbiące Keźmiana, a chłoszczące jezuitów.

Po tem, cośmy dotychczas powiedzieli, czytelnicy się nie zdziwią, jeśli odkryjemy tajemnicę, że listy te pisał — sam Koźmian!

To się nazywa usilnie pracować nad swoją sławą literacką!"

—ski.

Strejk robotników petersburskich.

O wielkim strejku robotników petersburskich podaje wiedeńska „Arbeiter Zeitung" uwagi godny artykuł, który tutaj powtarzamy: „Okropna katastrofa na polu Chodyńskiem nie minęła bez śladu dla rozwoju świadomości klasowej proletaryatu rosyjskiego. Dała ona nietylko potężny impuls do zniszczenia wkorzenionego w głowach tłumu, niedorzecznego wyobrażenia o „carze chłopskim", wyobrażenia w ostatnich lat dziesiątkach tak troskliwie, pielęgnowanego przez obrońców istniejącego ładu politycznego lecz przyspieszyła także pośród bardziej rozwiniętej części robotników rosyjskich wybuch istniejącego już powszechnego, choć instyktowego niezadowolenia ze swego położenia ekonomicznego. Wymownym dowodem podnoszącego się buntu przeciw niewoli ekonomicznej i politycznej pracującego ludu jest strejk masowy robotników we wszystkich rękodzielniach petersburskich. Tylko dwie firmy, znajdujące się na Wyborgskiej, nie biorą udziału w strejku.

Według ostatnich, zupełnie wiarogodnych wiadomości, jakieśmy otrzymali do robotników rosyjskich d. 21 bm., strejk trwa już drugi tydzień, a bierze w nim udział daleko więcej jak 30,000 robotników; powodem strejku było to. że przez policyę i przez fabrykantów robotnicy byli zmuszeni świętować całe trzy dni podczas koronacyi carskiej, by w ten sposób paradzie dworskiej nadać charakter uroczystości ludowej. Później jednak, gdy za patryotyzm trzeba było zapłacić, okazali się fabrykanci bardzo słabymi patryotami, gdyż oświadczyli robotnikom, że za przymusowe bezrobocie podczas koronacyi nie zapłacą im ani kopiejki.

Wobec istniejącego już niezadowolenia robotników, ta podła odmowa płacy wywołała burzę protestów, a w dalszej konsekwencyi strejk tysięcy robotników petersburskich.

Pomyślcie, co to znaczy: strejk w Rosyi! W Rosyi, gdzie brak wszelkiej swobody słowa, gdzie nie ma prawa zgromadzeń, gdzie prawo stowarzyszeń jest rzeczą nieznaną, gdzie ucisk policyjny i samowola rządów są nierównie większe i różnorodniejsze, niż na zachodzie. Niewątpliwie musieli organizatorowie robotników we wszystkich krajach europejskich cierpieć liczne prześladowania ze strony władz; ale przewodnicy proletaryatu rosyjskiego na każdym kroku stoją jedną nogą w jaskini zbójeckiej, która się nazywa twierdzą Piotropawłowską i przy każdem usiłowanin o poprawę losu swych towarzyszy muszą mieć przed oczyma perspektywę Sybiru.

Petersburski strejk masowy jest jednak zdarzeniem o znaczeniu historycznem i inauguruje nowy rozdział w rozwoju Rosyi. Rosyjski proletaryat przemysłowy wstępuje po raz pierwszy na scenę ze swemi własnemi, samodzielnemi żądaniami i celami! po raz pierwszy szeroka warstwa robotników prowadzi tu świadomie. z pewnym planem, walkę o płacę. Tym sposobem rosyjski ruch socyalistyczny z dziedziny teoryi politycznej występuje na grunt praktycznej walki klasowej, a skutki tego zdarzenia dla Rosyi nie dadzą pewnie długo na siebie czekać. Walka tych dziesiątek tysięcy robotników rosyjskich prowadzi się nietylko śród ciężkich niebezpieczeństw dla jednostek, ale także śród okropnej nędzy całych mas. Wszyscy robotnicy petersburscy, nie biorący udziału w strejku, chętnie spieszą z pomocą strejkującym, dzieląc się z nimi swą i tak już skąpą płacą. Ale nawet to, nawet każdy dar dany dla buntowników, uważa się w Rosyi za zbrodnię, która ostro bywa karaną, a o jakiemś odwołaniu się do prasy nie może być ani mowy.

Organizacya robotników petersburskich, mająca nazwę „Związek dla walki o oswobodzenie rosyjskiej warstwy robotniczej", zwraca się do świadomych robotników, do socyalnych demokratów zachodu, zwłaszcza austryackich, tusząc, że ci starsi bracia nie pozostawią swych towarzyszy bez pomocy, pomimo tego faktu, że każde zwycięstwo robotników rosyjskich w walce z istniejącym porządkiem jest zwycięstwem nad wrogiem swobody w całym świecie nad podporą i ochroną reakcyi europejskiej. Koronacya carska w Moskwie połączyła wszystkie żywioły reakcyjne w całym świecie, dokoła owych biednych robotników fabrycznych petersbur-

---

młodziencem i wygląd miał na nauczyciela; wrażliwa jego natura odczuwała piękno zewnętrzne, niezdolna będąc wznieść się w pogodnie spokojną dziedzinę myśli.

— Czemże jest ta rasa na wpół chrześciańska a na wpół przesiąkła pogańskiemi wspomnieniami?... Godzi ona w swem pojęciu cyrk i kościół... wszak większość tych ludzi modliła się z pobożności, podczas mszy dzisiejszej... katolicyzm zapomniał o litości względem zwierząt. A wszak na siedm wieków przed chrześciańską erą, Siddartha rzekł uczniom swoim: „Nie zabijaj i nie kalecz żadnego żyjącego stworzenia."

— Zapominasz o tem, czego żądasz od tłumu... Wszak dla przeprowadzenia twoich zamiarów, odwagę stawiać powinieneś wyżej nad łagodność...

— Nie znajdę ja nigdy posłuchania u tych ludzi... kierunek moich myśli jest wręcz przeciwny ich upodobaniom...

W tem rozwarto bramy zamykające arenę i w tłumie rozległ się przeciągły okrzyk zadowolenia, ulgi. Rzucono się gromadnie naprzód, gniotąc się, rozpychając i klnąc. Znaleźli się siłacze, którzy, pozostając chwilowo na miejscu, raptownym ruchem całego ciała podawali się naprzód, waląc przed sobą na ziemię cały szereg słabszych i nieprzygotowanych na to popchnięcie; siłacze zdawali się bawić tem rozkosznie i z upodobaniem wybierali swe ofiary pomiędzy kobietami i dziećmi. Płacz i krzyki padających doprowadzały dowcipnisiów do głośnych i wesołych wybuchów śmiechu.

— Dlaczego pchają się oni tak zawzięcie? — spytał Merodack swego młodego towarzysza, który jako prowansalczyk znał miejscowe obyczaje.

— Bo każdy z nich chciałby usiąść w cieniu -- odpowiedział Marestan. — O tej porze dnia, dwie trzecie hemicyklu jest w słońcu i kamienne jego ławy są rozpalone jak ogień. W tej części cyrku wydarzają się liczne wypadki apopleksyi i śmiertelne porażenia od słońca.

— Niechajby każdy lubujący się widokiem krwawych igrzysk, zmarł gwałtowną śmiercią!

— Nie złorzecz!... Lepiej patrz na to, co warte widzenia! — rzekł Marestan, ukazując towarzyszowi na uboczu, zdala od tłumu stojącego Fryderyka Mistrala, otoczonego gwarnem kołem felibrów. Piękna postać poety uosabiać się zdawała pana i władcę Prowancyi, tak dalece Fryderyk Mistral wcielił w siebie ducha tej ziemi.

— Ten człowiek ciasnotą swego patryotyzmu, przyczynia się do utrwalenia barbarzyństwa... Męczarnia, na którą idzie patrzeć wraz ze swym ludem, jest niesprawiedliwością a każda żądza zaspakajana kosztem sprawiedliwości jest zbrodnią...

„Womitorna" wchłaniały teraz w olbrzymie swe korytarze tłum cisnący się i duszący na zewnątrz gmachu. Raz dostawszy się do wnętrza, wrzaskliwa zgraja szturmem waliła się na strome schody, szukając miejsc, z których niedługo ustąpić miało słońce, cała bowiem wschodnia część amfiteatru leżała w cieniu i nabitą już była ludźmi. Roiło się tam i migotało ludzkie mrowisko, jaskrawe i różnobarwne, hałaśliwe i rubaszne. Mężczyzni zdjęli surduty, machali kapeluszami, każdy się sadowił jak mógł najdogodniej, aby użyć w całej pełni ohydnego widoku igrzysk, mających się rozpocząć za chwilę.

Merodack i Marestan zbliżyli się do womitoryum pozostawionego jako przejście honorowe dla oficyalnego świata miasta Tyfonii. Wchodziła również tędy uprzywilejowana garść publiczności, drogo mogąca płacić za najpierwsze miejsca. Zjeżdżały powozy i wysiadały z nich kobiety w jasnych, wytwornych strojach, oraz mężczyzni, niosący lornetki swych żon lub kochanek.

— Żona prefekta... patrz jaka ładna i jak pięknie ubrana — szepnął Marestan.

Szli generałowie w pełnych mundurach, pułkownicy... lśniło się od złoceń, mieniło się od różnobarwności strojów niewieścich. Wojskowi w białych rękawiczkach defilowali, jakby podczas parady, ociężalej i mniej gracko postępowały rodziny wysokich urzędników... nikt nie chciał się spóźnić na dzisiejszą uroczystość. Inaczej przecie działo się gdy ciż sami ludzie szli do teatru... przybywali wtedy pod koniec pierwszego aktu „Edypa" lub „Walkyryi".

— Widok igrzysk musi w nich roznie-

skich zgrupuje wszystko, co pragnie uwolnienia ludu roboczego we wszystkich krajach".

Tej samej sprawie poświęca berliński „Tageblatt" następujące uwagi: „Właściciele fabryk śledzą rozwój strejku z całym spokojem, gdyż pogłoski, jakoby robotnicy otrzymywali zasiłki przeważnie z zagranicy, mianowicie z Anglii, nie potwierdziły się wcale. Fabrykanci petersburscy są przekonani, że ich robotnicy, pozbawieni prawie zupełnie środków do życia, wrócą wkrótce do pracy. Pogląd ten jednak jest może zbyt optymistyczny. Zmowom tutejszym, o ile są zorganizowane systematycznie i porządnie prowadzone, sprzyja niezmiernie ta okoliczność, iż robotnicy rosyjscy mają bardzo małe potrzeby i potrafią wyżyć za 7 kopiejek dziennie. Teraźniejszy ruch robotniczy jest czysto wewnętrzno-rosyjski. Międzynarodowa socyalna-demokracya usiłowała wprawdzie ująć jego kierunek w swoje ręce i znaleziono tu liczne odezwy, zachęcające robotników rosyjskich do święcenia uroczystości 1 maja, właściwie 13 maja według starego stylu, ale projekt ten, niezrozumiany przez Rosyan, nie trafił do ich przekonania. Mimo to, jednak znowu utoruje niezawodnie socyalnej-demokracyi przystęp do Rosyi".

LITERATURA I SZTUKA.

NA MOIM POGRZEBIE.

Śniło mi się, żem umarł. Przy dębowej trumnie
Stanęli przyjaciele na mym świeżym grobie.
Z szczeremi łzami w oczach i z sercem w żałobie
Po raz ostatni o mnie rozmawiali u mnie.

Wspominali, żem życie przepędził rozumnie,
Żem, czyniąc, wiedział dobrze, dlaczego co robię,
Żem swoje złote pieśni śpiewał jeno sobie,
Żem w przyszłość patrzył śmiało a czoło niósł [dumnie...

Potem wyszłaś ty cicha z czarną ziemi grudką,
Twoja słodka twarzyczka wielkim smutkiem drżała,
Zgięłaś drogie kolana swe tuż, tuż bliziutko

Trumny. I jedno słowo szepnęłaś cichutko
„Kochał..." Ziemia się z twojej ręki wysypała...
I upadłaś podcięta, jak lilijka biała...

Władysław Sterling.

Uwagi o „Quo vadis".

Gdy czytelnik otrząśnie się z natłoku wrażeń, w których się nurzał przez cały czas czytania powieści, gdy się od niej trochę oddali i zamknie oczy, by bezpośrednie wrażenia zbladły, gdy ujarzmiona wyobraźnia jego odzyska polot swobodniejszy, samoistny, a zmysł krytyczny wchodzi w swe prawa, — wtedy obok świetnych obrazów „Quo vadis" stoją, przez pamięć przywołane, skromne, surowe, szlachetną prostotą tchnące obrazy z „Mirtali" Orzeszkowej. Wprawdzie oba te utwory są tak odmienne pod względem pomysłu i uczuć, które kierowały natchnieniem pisarzów, a zwłaszcza pod względem kolorytu, — tak nie wiele posiadają punktów zetknięcia się, tyle różnic, a tak mało podobieństw, iż o zestawieniu z sobą tych dzieł nie pomyślelibyśmy może, gdyby nie ta okoliczność, że widownia powieściowa w obu utworach jest ta sama, że zarówno Sienkiewicz, jak Orzeszkowa prowadzą nas do tej samej nieomal chwili dziejowej, bo panowanie Nerona przedzielone jest od objęcia rządów przez Wespazyana zaledwie kilkoletnią przerwą. Stąd w powieści Sienkiewicza niejednokrotnie spotykamy wzmianki o osobach, które występują w roli czynnej we wcześniejszym utworze Orzeszkowej. W najogólniejszych zarysach budowy możemy nawet dostrzedz pewne znamiona pokrewieństwa, bardzo zresztą niewyraźnego. W „Mirtoli" głównemi działającemi osobami są właściwie dwie różne a niechętne sobie narodowości, dwa społeczeństwa, obok siebie żyjące w murach stolicy. Tych dwu zbiorowych zapaśników miano: Rzym i Judea. Między nimi przebiegają potężne prądy nienawiści, pogardy, wstrętu, współzawodnictwa ekonomicznego, a uczucia, postępki i losy bohaterów są powiązane licznemi nićmi z ogólniejszemi stosunkami i wypływają z nich, jak ze swego źródła. Coś podobnego dzieje się w „Quo vadis". I tu ścierają się wrogo dwa społeczeństwa — pogańskie i chrześciańskie. Na tem tle i w zależności od przebiegu walki owej roztacza się właściwa akcya powieściowa. W „Mirtoli" obok występujących na pierwszy plan zapasów między Rzymem a Judeą, widzimy w głębi sceny odgrywający się inny dramat, którego źródło tkwi w ukrytym, lecz niemniej wyraźnym oporze ze strony pretora, jako przedstawiciela pewnej warstwy rycerstwa, przeciw panującemu składowi rzeczy. W „Quo vadis" pod uśmiechniętym pozorem najlepszych stosunków odbywają się gonitwy na ostre między Neronem a Petroniuszem.

Zresztą nie mam zamiaru osnucia kilku wniosków moich, dotyczących „Quo vadis" na nieustannych zestawieniach utworu tego z „Mirtalą". Porównania te mają za jedyny cel — wprowadzenie nas *in medias res*, są środkiem do zapoznania się z zakresem zjawisk i stosunków społecznych, objętych powieścią Sienkiewicza. Oczywiście nie mam na myśli właściwej osnowy. Muszę uczynić to przypuszczenie, iż czytelnik, któremu wpadną do rąk niniejsze uwagi, ma dzieło Sienkiewicza w świeżej pamięci. Nie będę również podawał treści utworu Orzeszkowej, bo czyż mogę na chwilę pomyśleć, iż „Mirtala" znaną czytelnikowi nie jest? Wrócimy jednak do rzeczy.

Przedewszystkiem, jak niema chrześcian w „Mirtali", tak też nie ma w „Quo vadis" żydów, którzy ukazują się tu przygodnie w jednej tylko scenie. W tym więc względzie porównań żadnych być nie może, chybabyśmy mówić chcieli o zachowaniu się prześladowanych względem swych prześladowców. Ale o tem niżej. Wobu utworach wszakże

---

cać jakieś skryte i sprośne namiętności -- zauważył Merodack.

— Zachwycającą się zręcznością i odwagą — odparł Marestan.

— Zachwyt ich musi być czysto lubieżny...

Wtem rozległ się odgłos trąby i dwaj młodzi przyjaciele, wszedłszy do starodawnego, rzymskiego cyrku, dostali się na najwyższe stopnie kamiennego amfiteatru.

Zarząd igrzysk zgarnął dziś do swej kasy przeszło sto tysięcy franków, zapłaconych przez ośmnaście tysięcy widzów, zbiegłych tu by nic nie uronić z krwawych katuszy, któremi oczy swoje napoić łaknęli. Z tych stu tysięcy, matador otrzymał dziesięć dla siebie i pięć dla swojej kwadryli. Byki występować mające, pochodziły z Hiszpanii; dla czterech pikadorów przygotowano szesnaście koni na zmianę, gdy legną w walce, rozprute rogami sztucznie rozjuszonego zwierza. O tych szczegółach rozprawiano głośno i zajadle wśród tłumu, każdy chciał uchodzić za najlepiej poinformowanego.

— Słuchaj, co ten opowiada — rzekł nagle Marestan, pokazując towarzyszowi olbrzymiego wzrostu mężczyznę, mówiącego do starego, wymuskanego eleganta, będącego księciem:

— Nikt nie przypuszcza, do jakiego stopnia dzisiejsze igrzyska będą zajmujące! Jeden z ośmiu byków uśmierci matadora. Wiem na pewno. Czy książę widzi tę hiszpankę w koronkowej mantyli, z czerwonym wachlarzem?... Tam przy samym murze otaczającym arenę, przy podium... Jestto dawna kochanka El Cocolo... chcąc ukarać niewiernego, przygotowała mu śmierć, a teraz czeka tej chwili...

— Nie doczeka się — odrzekł książę, poruszając pogardliwie sztywno nastawionemi wąsami — El Cocolo jest mistrzem nad mistrze... niema sobie równego matadora, nawet nigdy nie był ranny...

— Tak, ale tak dobrze El Cocolo, jak wszyscy inni jemu podobni nosiciele szpady i hiszpańskiego płaszcza walczyli tylko ze świeżemi bykami... Otóż piękna Doria posiada nietylko wdzięki lecz i dużo złota... z łatwością też przekupiła kogo należało i jeden z byków zna się już z muletą.

— W takim razie El Cocolo padnie dzisiaj trupem! — zauważył książę z żywością a oczy błysnęły mu dziko i drapieżnie.

— Biegnę też natychmiast do kawiarni naprzeciwko, by machnąć coprędzej artykuł o śmierci matadora.., Czy książę wiesz, jaką mam genialną myśl!... Na drugiej stronie arkusza każę wydrukować nasz program polityczny... co przy zbliżających się wyborach... rozumie pan?.. A co, wszak prawdziwy ze mnie mąż stanu a nietylko redaktor głównego dziennika miasta Tyfonii!

Zakręcił się na pięcie, wyprostował olbrzymie swoje ciało i, wymachując laską, począł zchodzić na dół z wielkim pośpiechem, nieco utrudnionym strzemiączkami zbyt silnie naprężonemi.

Merodack nie zrozumiał dokładnie, więc Marestan objaśnił mu:

— Byk, który brał udział kiedykolwiek w igrzyskach, nigdy się nie rzuca na płaszcz powiewany przed nim przez matadora, tylko szuka po za płaszczem człowieka. Dowodzi to nietylko wielkiej pamięci, lecz zarazem zastanowienia, zrozumienia ze strony byka. Okoliczność ta jest powszechnie znaną pomiędzy ludźmi, mającymi do czynienia z kwestyami odnoszącemi się do igrzysk i żaden toreador nie zgodzi się nigdy walczyć z bykiem uświadomionym, to jest powtórnie wyprowadzonym do mierzenia się z człowiekiem pośród areny.

— Cóż za nizki podstęp ze strony człowieka! — zawołał Merodack głosem pełnym oburzenia.

Na środek areny wjechał teraz konno alguazil, za nim pikadorzy z tyłu po za jeźdzcami postępował El Cocolo ze swoją kwadryllą. Merodak zauważył, iż podobnymi byli do klownów, szykujących się popełnić nikczemną zasadzkę.

— Patrz na cały ten wstęp — rzekł Marestan — bo przypuszczam, iż wszystko dalsze przejmie cię sroższem jeszcze oburzeniem.

Matador wystąpiwszy naprzód i z twarzą zwróconą ku trybunie oficyalnej, składał przysięgę pokonania byka, podług reguł przyjętych, przekładając umrzeć, aniżeli je przekroczyć. Stosownie do przyjętego obyczaju, ujął w górę swą czapeczkę i zręcznym ruchem

autorowie wprowadzają na widownię świat rzymski. A i tu jeszcze obaj powieściopisarze się rozmijają. Orzeszkowa maluje usposobienie ludu, żołnierzy, zamożnego mieszczaństwa (według współczesnego nam słownictwa). Sienkiewicz zaś wprowadza nas głównie na dwór Nerona, ukazuje domowe życie wierzchniej warstwy rycerstwa i senatorów, wreszcie dotyka stosunku panów do niewolników... Wprawdzie w Sienkiewiczu lud występuje często, ale tylko jako zwarta masa, przeważnie jako gawiedź cyrkowa lub rynkowa.

Prawdziwe spotkanie obu autorów nastąpiło tam, gdzie i jeden i drugi zaglądają do tych cichych zakątków, w których się kryli najstaranniej ludzie, zachowujący staro-rzymskie tradycye, ludzie, którym nie przypadał do smaku Rzym nowożytny, ani oni jemu nie przypadali do gustu. Dom pretora Helwidyusza Priscusa z „Mirtali“ rozpoznajemy z łatwością w cichej siedzibie Aulusa Plautiusza. Podobieństwo sytuacyi dalej jeszcze sięga. Ligia jest cudzoziemką, przybranym dzieckiem Graeciny Pomponii. Mirtalę — żydówkę — tylko własna wola wstrzymała od zajęcia w domu Helwidyusza takiego samego stanowiska.

To spotkanie się autorów, o którem mówiliśmy, jest czysto przypadkowe. Kilka pospiesznych pociągnień ołówkiem, kilka rysów i Sienkiewicz opuszcza dom Aulusów, by już tam nigdy nie zajrzeć, gdy tymczasem część akcyi „Mirtali“ odbywa się właśnie w domu pretora, zgraja zaś otaczająca Domicyana, ukazuje się ledwie na chwilę. Nie trudno wyświetlić przyczynę tej różnicy. U Orzeszkowej tłem był obraz usposobień masy żydowskiej i gminu rzymskiego. I w wyższych warstwach społeczeństwa chciała autorka wykazać istnienie prądów głębszych, samoistnych, od przypadkowego zbiegu okoliczności niezależnych. To też uwydatniła nieustający, acz skryty, antagonizm między władzą cesarską a tą warstwę patrycyuszów, która nie mogła się pogodzić ani z przesunięciem się środka ciężkości politycznej, ani z niepewnością swego życia, swobody i mienia wobec wszelkie tamy wywracającej samowoli dowódzców wojskowych. Sienkiewiczowi zaś chodziło jedynie o uchronienie Ligii od zakaźnej atmosfery Rzymu cesarskiego, o uprawdopodobnienie tej okoliczności, iż przybrana córka Pomponii wobec powszechnego zepsucia obyczajów pozostała czystą moralnie. I stąd od chwili, gdy kochanka Winicyusza znalazła innych opiekunów wśród chrześcian, rodzina Aulusów usuwa się z widowni. Ponieważ znowu autor nasz osnuł swą powieść na tle prześladowania chrześcian przez Nerona, więc z istoty rzeczy wypadło mu zwrócić baczniejszą uwagę zarówno na głównego sprawcę pogromu jak i na tę część społeczeństwa rzymskiego, która czyny swego władcy oklaskiwała i chęci jego uprzedzać spieszyła.

Zważmy atoli następującą okoliczność. W utworze powielekroć spotykamy wzmianki, że Neron dbał o przychylność ludu, ponieważ potrzebował go mieć po swojej stronie w walce, którą toczył z patrycyatem. Otóż walki tej nie widzimy wcale. Już przez to samo, że w powieści występują przeważnie, — wyłącznie nieomal, — tylko pogodzeni z losem, tylko usiłujący przystosować się do panującego stanu rzeczy, a nawet wyzyskać go na swoją korzyść, — już to samo, powiadam, utrudnia autorowi głębokie ujęcie i przedstawienie zapasów owych między Cezarem a ukrytymi republikanami. Ani widzimy, ktoby mógł myśleć o rzuceniu rękawicy władzy cesarskiej, ani pod jakiem hasłem mógłby uczynić wezwanie do boju. I kogo miał się obawiać Neron, by mu potrzeba było skarbić łaski ludu? Czy Petroniusza? czy Aulusa, który szczęśliwym się mienił, jeśli się na oczy cezarowi nie nawijał? Czy Tigellina, który wprawdzie w niebezpieczeństwie nie cofnął się przed groźbą, lecz tylko jako przedstawiciel żołdactwa, tego jedynego a właściwego źródła władzy imperatorów? Jeżeli Neron wreszcie lękał się skrytobójczego zamachu, przed tym osłonić go łacniej mogła czujna straż, niż przychylność tłumu, z luźnych jednostek złożona... Co do ludu, nie widzimy w powieści, skądby urość miało przeciwstawienie potrzeb i dążeń między patrycyatem a ogółem wolnych obywateli państwa. Dla tego też szaleństwa Nerona i jego tyranów są w dziele Sienkiewicza tylko potwornem wybujaniem indywidualizmu złoczyńcy i skoczka, lecz nie objawem pragnień ludowych, nie wyrazem jakiegoś starcia się dwu różnych prądów społecznych, dwu dążności politycznych. A nawet wbrew zapewnieniom autora, rozpasana i okrutna samowola „Miedzianobrodego“ znajduje swą przeciwwagę tylko ze strony jego rzekomego sprzymierzeńca, albowiem postawa tego ludu właśnie zmusiła go wielokrotnie do liczenia się z czyjąkolwiek jeszcze wolą, oprócz swojej. Petroniusz zyskał sobie serca ludności przez to, że próbował zapobiedz rzeczi sprawionej wśród kilkuset niewolników za zabójstwo, dokonane przez jednego z nich na swym panu. Jak widzimy, role tu zupełnie się odwracają: arystokrata jest rzecznikiem gnębionych. A nawet prześladowanie chrześcian było przedsięwzięte przez Nerona w myśli odwrócenia od siebie podejrzeń i powszechnej nienawiści. Przecież Winicyuszowi przemknęła już była przez głowę myśl wyzyskania wzburzenia tłumów na swą korzyść i przeciw Neronowi. A ten spisek chybiony, o którym się dowiadujemy z pobieżnej wzmianki, był tylko zamierzonym przewrotem pałacowym, był wybuchem nienawiści, wywołanych przez osobiste a bezmyślne okrucieństwa Nerona, przez ciągłą niepewność losu, która była udziałem najbliższego otoczenia Cezara; głębszego znaczenia sprzysiężenie to nie miało, nie było oznaką jakiejś szerszej dążności politycznej...

Nie przeceniajmy atoli wagi poczynionych zarzutów, choć widoczną jest rzeczą, że wykonanie nie urzeczywistniło pomysłu w wytkniętym zakresie. Dla celów pisarza wystarczało rozwinąć przed nami obyczajową stronę chwili, by na tem podścielisku umieścić obrazy silne, potężne, wywierające głębokie wrażenie. Strona obyczajowa nie została wprawdzie przedstawiona wyczerpująco, np. nie widzimy prawie kobiet, oprócz niewolnic, ale widowisko szaleństw Cezara jest prawdziwie świetne.... Przesuwają się przed nami coraz to nowe rzeczy, a zawsze żywe, barwne, plastyczne, w pamięć się wdrażające, działające na nerwy... Niemniej też plastycznie występuje przed naszym wzrokiem część domowego życia tych „mężów konsularnych“, którzy w szaleństwach swego pana uczestniczyli. Na tem tle głównie, nieomal wyłącznie, widnieje postać Petroniusza, bo-

---

rzucił ją ku trybunie, by na znak hołdu spadła u stóp władzy, reprezentowanej tutaj w osobie prefekta. Poczem alguazil wręczył matadorowi symboliczny klucz torilu i zabrzmiala trąbka na znak rozpoczęcia igrzyska. Ucichła trąbka i nastąpiła chwila głębokiej ciszy; odsunięto wązkie przejście w pobliżu bramy, którą dopiero co wkroczył orszak przyszłych pogromców i stanął w pośrodku areny wspaniale piękny byk o straszliwych rogach; w pędzie swem zatrzymał się raptownie, olśniony słońcem; wielki swój łeb uniósł w górę ku tłumowi patrzącemu nań z natężoną uwagą i zaniepokojony począł ryć ziemię kopytami a potężnie ryknąwszy zwrócił się szybko w tył, biegnąc z powrotem do czarnej swej nory.

Odwrót ten wywołał szydercze okrzyki i gwizdanie.

Zwierzę spostrzegło, iż zamknięto przed niem przejście i zrozumiało, iż wpadło w zasadzkę. Rozejrzał się tedy byk z wściekłością, szukając nieprzyjaciela. Powiewały ku niemu czerwone płachty, rzucił się na nie spuściwszy łeb wojowniczo, lecz rogi jego napotkały tylko próżnię. Z niecierpliwością i niepokojem obiegł arenę do koła, szukając wyjścia. Toreadorzy, ukryci za drewnianą palisadą, naigrawali się z byka, drażniąc go swym krzykiem.

Wtem dwa żelazne ostrza utkwiły mu w karku; oswobodzić się chciał z ich ukłucia; wstrząsnął się cały, lecz banderille wpiły się tem mocniej, pękając z trzaskiem, ogłuszając go hukiem, krwawiąc mu skórę pierwszemi ranami. Czerwone szmaty powiewały bezustannie dokoła, więc rzucać się począł kolejno, lecz nic jak tylko próżnię po za niemi znajdując, drżał z rozjątrzenia, daremnym wysiłkiem męcząc sprężystość swych muskułów. Porzucił tedy tę próżną walkę i pomijając obstępujących go toreadorów ukrytych za powiewanemi kapami, wymijając lance pikadorów, byk rzucił się na konie. Straszliwe jego rogi pruły końskie brzuchy a toreadorzy zatykali cieknące ich rany wiechciami ze słomy, lecz te wyskakiwały pod naciskiem wnętrzności, wytryskujących skłębioną masą a gdy jeździec ostrogami wydostawał ostatnie siły z nieszczęsnego konia, trzewia jego wlokły się po ziemi, oplątując nogi padającego wierzchowca.

Publiczność wpadała w szał na ten widok. Klaszcząc w dłonie, tupiąc nieprzytomnie nogami, wrzeszczeli ci ucywilizowani ludzie: „Brawo, Toro! Brawo! Brawo!...

Merodak był teraz trupio blady; nerwowe drżenie zawładnęło nim, chociaż oczy odwracał od wstrętnego widowiska. Marestan zaś patrzał chciwie, chociaż prawie nieprzytomnie.

Coraz to nowe banderille utykały w ciele rozjuszonego, wspaniale walczącego byka. Krew spływała wązkiemi pasmami po całej jego skórze żebrując ją cieknącą czerwonością.

Tłum wyć począł, domagając się śmierci byka. El Cocolo wysunął się naprzód, by zadość uczynić żądaniu. W jednym ręku trzymał czerwoną chorągiewkę, słaniając nią przed oczami byka a ręką drugą dzierżył miecz, ukrywając go jakby laskę po za swemi plecami. Skoki El Cocolo i migotanie chorągwią przed oszołomionym zwierzem, trwały jeszcze minut kilkanaście, wreszcie matador zadał cios zwycięzki, topiąc ostrze szpady powyżej łopatki; byk padł na kolana, jakby gromem rażony. Wówczas człowiek zwycięzca, pastwiąc się nad swą ofiarą drażnił obumierające jej oczy czerwonością mulety, powiewając nią zwolna, blizko, coraz bliżej, aż do ostatniej chwili skonania....

— Krzyż krzyż! Czy widzisz ich świętokradztwo! — szepnął zbielałemi usty Merodack, ukazując swemu towarzyszowi rękojeść miecza, przeszywającego drgające ciało powalonego zwierzęcia.

Wyjący z uniesienia tłum widzów szalał i w roznamiętnieniu najwyższem rzucał w arenę cygara, kapelusze, chustki. Gdyby ci chrześcianie mogli ująć swe dusze, byliby się nie zawahali rzucić je w ofierze do stóp matadora.

Kobiety padały, omdlewając z nadmiaru rozkoszy, oczy ich promieniały zachwytem, piersi, falując, dyszały namiętnie, cała istota tych niewiast uwydatniała poryw ekstazy, paroksyzm zadowolonej żądzy.

— Bekowisko śmierci! Nie przypuszczałem, że to istnieć może! — szeptał, rozglą-

daj najpyszniejsza obok postaci samego Nerona. Jest on nawet sympatyczny, a tę sympatyę czytelnika zawdzięcza może pewnej niekonsekwencyi w odmalowaniu swego charakteru przez autora. Paradoksalnem może się wydać takie twierdzenie z mej strony, postaram się je wszakże uzasadnić.

Postawmy obok siebie dwa wizerunki: Patroniusza i Nerona. Jeżeli w twarzy tego drugiego również dostrzeżemy pewne niezgodne rysy, to dla tego tylko, że one tkwiły w osobowości Nerona, jak go zrozumiał Sienkiewicz, lecz bynajmniej nie z tej przyczyny, że postać nie była przez autora przemyślana. Zbój, okrutnik, tchórz, bez zarodków szlachetniejszych popędów, lecz z porywami artystycznemi i idącą z niemi na równi zdolnością do uczuć udanych, naśladowanych, w które się wprawia drogą umyślnej egzaltacyi, a nadto próżny i naiwny w swej próżności, jak dziecko... oto zdaje się cała jego charakterystyka. W niej znajdzie chyba pogodzenie i owa prawdziwość wzruszenia, z którem opiewa pożar Rzymu, i ten doskonały spokój duchowy, z którym dźwiga na sobie ciężar odpowiedzialności za spalenie tegoż Rzymu....

Co innego Petroniusz.... Ten według charakterystyki autora, utracił poczucie między czynem złym a dobrym, lecz natomiast jest niepodrobionym, prawdziwym artystą, i nietylko w używaniu, lecz i w zakresie twórczym, jest przecież autorem „Satiricona". Nie ma krwiożerczych Nerona instynktów, ale zresztą jest zupełnie obojętnym względem etycznej wartości postępowania własnego lub czyjegokolwiek. Cierpienia ludzkie nie obchodzą go wcale, łzy wywołać mogą tylko uczucie niesmaku.... Otóż czyny Petroniusza niezawsze w tej charakterystyce mieścić się mogą.... Zapewne, zbyt miękkich uczuć nie mamy prawa wymagać od nikogo w tej atmosferze, w którą wsiąkały wyziewy krwi, przelewanej dla rozrywki, — w tym czasie, kiedy widok męczarń napawał oczy rozkoszą, gdy ludzi hodowano jak chlewnię na rzeź.... Petroniusz na te widowiska uczęszczał i spoglądał na śmierć i męki z zimną krwią. Mimo to okrutnym nie był. Czy tylko tyle? Gdy Winicyusz każe siec swych niewolników rózgami, Petroniusz z niesmakiem wychodzi z jego domu. Dla czego? Czy że ćwiczeni będą brzydko jęczeć i krzyczeć, że ciała biczowane niekształtnie wyglądają? Może. Lecz dlaczego tenże Patroniusz dał swój głos przeciw masowemu ukaraniu niewolników za winę jednego? Siepaczem ani widzem być mu przecie niekazano, nie groził mu zatem widok nieestetyczny. Dlaczego znowu do otwartej niemal walki staje z Neronem w obronie Ligii i chrześcian? Czy z powodu Wincyusza, dla którego zachował trochę uczuć ludzkich? To dlaczego dawniej uratował Wespazyana? Cóż ten go obchodził? I czytelnik zaczyna podejrzewać, iż Petroniusz jest lepszym, niż o sobie mówi, niż sam siebie rozumie.... Nie z estetycznych względów, lecz dla tego, że w sercu jego żyły jeszcze nie zupełnie zgłuszone zarodki uczucia sprawiedliwości i litości, czyny jego nie zawszo były występne i złe... Nie jest on jeszcze skończonym i wyłącznym „estetą"... Mimowiednie bywa dla niego niekiedy nie to, co piękne — dobre, a co brzydkie — złe, lecz odwrotnie: co dobre — to piękne, co złe — to brzydkie. Nadto w powieści występuje on niekiedy w roli złego doradcy, ale zawsze jako obrońca Winicyusza... Taką jest niekonsekwencya charakteru Petroniusza, która go w oczach czytelnika czyni sympatycznym.

Jak powiedziałem, jest to bodaj najwyrazistsza postać w utworze; ta walka dowcipu, talentu, przebiegłości z tyranem, nad którym się panuje tylko moralną i umysłową wyższością, który w każdej chwili gotów zerwać te pęta pajęczynowe, — ta walka zawiera w sobie jakiś szczególny urok i jest istotną składową częścią utworu. Do pięknych i cennych ustępów powieści należy też śmierć Petroniusza, jego ostatnie pożegnanie z Cezarem. I podziw nas zdejmuje na widok tych ludzi, którzy w ostatnich chwilach nawet wieńczyli swe czoło różami, pili jeszcze ostatnie krople rozkoszy... Skąd oni brali siły, skąd czerpali ten spokój duchowy, oni, dla których niebo było puste, a nadzieja szczęścia przyszłych pokoleń nie przyświecała, oni, którzy nie mieli oparcia w żadnych podstawach moralnych, przed którymi nicość otwierała na rozcież podwoje? Piękny, piękny to ustęp — śmierć Petroniusza.

Ale dzieje twórcy „Satiriconu" nie stanowią jeszcze tej nici, która wiąże z sobą wszystkie wypadki powieściowe. Tą nicią jest wytrwałe dążenie Winicyusza do połączenia się z Ligią.... Ujrzał ją w domu przybranego jej ojca; Ligia nas prowadzi na dwór Nerona, wraz z nią dopiero wstępujemy między chrześcian, na nią oczekujemy wciąż w amfiteatrze. Lecz nim zdążymy do końca, udajmy się wraz z Ligią i przebranym Winicyuszem do Ostranium, by posłuchać świadectwa Piotra o Panu.

Zatrzymujemy się tu na chwilę. Jeszcze nim Sienkiewicz miał czas bodaj z lekka wcielić swe pomysły w kształty zewnętrzne, heroldowie wrzawą trąb i okrzykami tryumfalnemi ogłosili *urbi et orbi*, że autor „Pójdźmy za nim" stał się twórcą wspaniałej epopei chrześciańskiej. Nie czyńmy pisarza odpowiedzialnym za przesadne chwalby głosicieli. To wszakże nie ulega wątpliwości, że ideą dzieła jest zobrazowanie walki, jaką staczać musiał młody kościół chrześciański z pogańskim światem. Według legendy, gdy Piotr uchodził z Rzymu, by uniknąć srogiego prześladowania, ukazał się mu Pan. Wtedy zamienione zostały te słowa „Quo vadis", które czytamy w nagłówku powieści. Już zatem wybór tytułu świadczyć może, iż w wskazanej scenie według wcześniejszego rozmysłu miał się znajdować punkt ciężkości całego dzieła. Piotr uosobia losy całej powszechności chrześciańskiej. Jak apostół, zachwiany chwilowo w ufności, lecz skarcony przykładem i wymówką Boskiego Nauczyciela powraca na stanowisko swoje, by na nim wytrwać do końca, tak też i nowa wiara, zamiast ugiąć się pod ciosami na nią spadającemi, święcić miała wciąż nowe tryumfy. Jeżeli dobrze odczytaliśmy znaczenie symbolu, mamy prawo mówić o epopei, — epopei chrześciańskiej, mamy prawo oczekiwać, że autor da nam poznać ducha, panującego właśnie kościoła pierwotnego, i że w dalszym ciągu okaże, jakie stosunki zachodziły między gminą wyznawców Chrystusa w Rzymie, a obcem jej lub wrogiem środowiskiem społecznem. Układ wypadków powieściowych jest również przystosowany

---

dając się dokoła siebie, coraz to bledszy Merodack.

Przez otwarte podwoje wjechała do areny para koni zaprzężona do rodzaju wyplatanej wielkiej ramy, na które złożono martwe ciało byka; uprzątano je. dla nowego igrzyska. Konie wlokły trupa ku stajni a rogi poległego zwierza, orały bruzdę wzdłuż przebywanej drogi. Zabierano w ten sposób trupy czterech koni, rozprutych w czasie walki, a trzewia ich wlokły się długiemi wężami, znacząc w smugi pylny grunt areny.

— A więc jeszcze siedm razy wznowi się to okrutne widowisko! Opuszczam cię... muszę się skryć w jakim kącie... wrócę tu do ciebie pod koniec, by zobaczyć zemstę byka.

Merodack błąkał się jakiś czas wśród starożytnych murów rzymskiego cyrku a przybywszy na piętro przeznaczone niegdyś dla niewolników, siadł i ukrywszy twarz w dłoniach- pragnął otrząsnąć się z nerwowego wzruszenia i zastanowić nad tem co widział. Lecz skutkiem rozdrażnienia, jakiemu ulegał, myśl urywała się niesfornie; pałać począł chęcią zemsty, żądzą wytępienia ludzi, mogących się rozkoszować widokiem krwawej katuszy zwierząt. Jeżeli skupiona wola człowieka może swą siłą przeważyć i przyspieszyć spełnienie się wypadku wynikającego z fatalności, to wysiłek Merodacka spowodować był powinien zatratę i śmierć dla El Cocolo.

Chwilami stawała mu w pamięci wspaniała postać Fryderyka Mistrala. Dotychczas wielbił poetycki jego geniusz, obecnie wszystko zmiotła i zatopiła najwyższa pogarda dla całego rodu ludzkiego, o ile ród ten podobien jest do okrutników wyjących tuż obok w spazmach rozkoszy.

Tylu mężów stworzyło naukę, mającą udoskonalić człowieka, pierworodne atoli jego instynkty czynią go dotychczas niepoprawnie złym i o wiele gorszym od najokrutniejszych bestyi.

Podniósłszy głowę, Merodak ujrzał naprzeciwko arkady, o którą się opierał, wysoki mur, stanowiący ścianę na zewnątrz stojącego budynku. Przypatrzywszy się nieco uważniej, poznał iż było to więzienie. Przy jednem z małych zakratowanych okien, stał jakiś mężczyzna i wpatrywał się w niebo. Gorzka ironia opłynęła duszę Merodacka. Cóż zawinił ten więzień?... O ileż popełniona przez niego zbrodnia mniejszą jest od dokonywanego w danej chwili morderstwa, przez dwadzieścia tysięcy łotrów, ziejących żądzą w amfiteatrze miasta Tyfonii?... A może więzień jest tylko drobnym przestępcą, może jest włóczęgą, kłusownikiem, zgłodniałym, ratującym się od śmierci okruszyną chleba, napotkaną na cudzym stole... Czemże są podobne winy, w porównaniu z zbrodnią odbywającą się w arenie!... Merodack przypomniał sobie, iż mu pokazywano dopieroco lożę, zajętą przez najwyższego sędziego Tyfonii, patrzącego wraz z żoną i dziećmi swojemi na męczarnie byka, na katusze koni. Był to człowiek bardzo poważny i tyfończycy podziwiali łagodną sprawiedliwość jego wyroków.

Długo przesuwał Merodak różaniec swoich myśli i bolał nad obrzydliwością przedmiotu rozmyślań swoich. Słońce prawie już zaszło, przypomniał więc sobie, iż czas było wrócić do cyrku, by nie przepuścić ostatniego igrzyska.

Gdy siadł obok Marestana, uchyliła się właśnie klapa zamykająca byka w ciemnej komorze, zbudowanej z umiejętną sztuką dodawania męczarni. Czarny, wspaniały byk wyrwał się ze swego więzienia i odrazu wpadł na jedynego już z szesnastu koni, kładąc go trupem na ziemię, poczem zwrócił się na wysadzonego z siodła pikadora, nadział go na rogi i odrzuciwszy jak szmatę, pocwałował aż przed trybunę prefekta; wstrząsnął ją potężnemi uderzeniami rogów, jakby świadomy mściciel. Nie zważając na banderille boleśnie przerzynające mu skórę, gardząc rzucaniem się na powiewane zewsząd kapy, szukał jedynie rzeczywistego swego wroga, to jest człowieka. W jednej chwili cała kwadrylla znikła, schroniwszy się po za baryery.

Merodak drzał chęcią zemsty, jednoczył się z ziejącym wściekłością bykiem i całą moc swej duszy rad byłby w niego przelał.

Widząc ucieczkę swoich pomocników, El Cocolo stanął sam do walki i nadstawiał w zręcznych ruchach jaskrawą opończę, lecz

do tej myśli przewodniej. Winicyusz, póki nie zrzucił z siebie powłoki pogańskiej, nie może otrzymać Ligii. Bierze ją dopiero — symbolicznie — z rąk Piotra apostoła. Ligia poddana jest prześladowaniu na równi z innymi współwyznawcami za wiarę. Stąd płyną następnie wszelkie przeszkody, stojące na drodze połączenia kochanków, stąd dramatyczne powikłania. I oto do pojętego w ten sposób pomysłu autora stosować będziemy wyniki rozbioru. Teraz wrócić się możemy do szczegółowszego przeglądu środków, które pisarzowi posłużyły do zewnętrznego upostaciowania swych myśli.

Obraz świata chrześciańskiego wypadł u Sienkiewicza bardzo blado i jednostronnie, i w każdym razie nieodpowiada wydatnej roli, którą autor przeznaczył *t*emu czynnikowi w ogólnej koncepcyi dzieła.

Odmalowanie obyczajowej strony pewnej części społeczeństwa rzymskiego dało pisarzowi powód do nakreślenia scen jaskrawych, do użycia mocnych barw i głębokich cieni. Ciche, zamknięte w sobie społeczeństwo chrześciańskie odpowiedniego materyału dostarczyć nie mogło. Stąd zapewne uderzająca różnica w plastyczności i sile pendzla w różnych częściach utworu. Chrześcian widzimy stale zamodlonych lub wsłuchanych w słowa każących nauczycieli swoich. Uważmy tylko zachowanie się Piotra. Ilekroć on się odezwie, czy to wobec zgromadzonych osób, czy też w kompletnem Kole wyznawców, zawsze opowiada z namaszczeniem rozdziałki z historyi świętej. Wyobraźnia pisarza nie miała tu z pewnością dla siebie obszerniejszego pola. W chwili, gdy wyznawcy Chrystusa powstają z klęczek, znikają zupełnie nam z oczu. Nie wiemy, jak myślą, co czują i co czynią. A tylko wtajemniczenie nas w ten zamknięty świat duchowy mogłoby nam wyjaśnić warunki zwycięzkiego pochodu zasad nowej wiary, mogłoby wyświetlić jej wpływ magnetyczny, który mimo prześladowania stwarzał wciąż nowe rzesze prozelitów. Ale autor nie dał nam odczuć tego wpływu, nie wskazał dokładniej i wybitnych punktów zetknięcia się dwu różnych potęg, z których jedna miała odtąd wzrastać, druga chylić się ku coraz widoczniejszemu upadkowi. W około wyznawców szaleje Rzym pogański, szaleje Cezar. Powietrze jest przesycone zaduchem krwi, przelewanej w amfiteatrze, wyziewami poszarpanej przez bicze skóry niewolników itd. itd.

A chrześcianie nic nie widzą, nie czują, nie słyszą.... To biedne ofiary, którym cała potęga wiary i uniesienia potrzebna jest na to, by nie czuć męczarni, by zapomnieć o wstydzie obnażonego ciała, wytrwać w ścisku więziennym. *A. Drogosław.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZOLA.

W kilka dni po ukazaniu się w handlu księgarskim najnowszego dzieła Zoli p. t. „Rzym“, jakiś podrzędny dziennikarz podniósł przeciw niemu zarzut plagjatu. Znakomity pisarz zamieścił z tego powodu w „Figarze“ kilkoszpaltowy artykuł, w którym zbija uczyniony zarzut i objaśnia szczegółowo swoją niesłychanie mozolną i sumienną metodę pracy. Wyjaśnienia te wykazują dowodnie, jaką olbrzymią sumę pracy musi płodny ten pisarz pokonać, zanim wzniesie choćby rusztowanie do nowego dzieła i napisze pierwszy wiersz pierwszego rozdziału. „Od pierwszego romansu, jaki napisałem“, brzmią słowa Zoli, „moja metoda pracy została niezmienioną. Znam tylko trzy źródła informacyjne: książki które mi otwierają przeszłość; świadków, którzy mi ustnie albo zapomocą pisanych notatek dostarczają dokumentów o tem, albo co widzieli, co wiedzą, i wreszcie trzecie, bezpośrednia obserwacya na miejscu. Przy każdej nowej powieści otaczam się całą biblioteką dotyczącą tematu, jaki obrałem. Wypytuję wszystkie kompetentne osoby, do jakich tylko dostać się mogę, o zdanie co do danego przedmiotu; podróżuję, studyuję kraj, ludzi i obyczaje. Jak można wymagać odemnie, żebym wszystko wiedział? Jestem powieściopisarzem i nie moja to rzecz wiedzieć wszystko. Skoro tylko zabieram się do nowej roboty, nie pozostaje mi nic innego tylko studyować wszystko, co ma związek z nowym przedmiotem i zdobyć te specyalne wiadomości, które są potrzebne do pisania o danej kwestyi.“

Tu wylicza Zola książki i źródła do jakich się uciekał, przed napisaniem różnych powieści swoich. W „*Assomoir*“ np. śmierć Coupeau w napadzie *delirium tremens* jest dosłownie wiernym opisem obserwacyi lekarskiej, dokonanej przez jednego z szefów kliniki w szpitalu S-tej Anny. Gdy Zola powziął zamiar napisania „*Au bonheur des dames*“, p. Chauchard z wielkich magazynów Luwru i administracya magazynów „*Bon marché*“ zaopatrzyli go w obfity materyał. Przed napisaniem „Germinala“ przestudyował całe góry broszur specyalnych z dziedziny wiadomości technicznych i naradzał się z wielu inżynierami. Po „Ziemi“, „Śnie“ i „Zwierzęciu w człowieku“, z których każde wymagało specyalnych studyów, najwięcej „łamał sobie głowę“ Zola przed napisaniem „Pieniądza“. Materyał, jaki mu dostarczyli giełdowcy, był dla niego taki chaotyczny, że dziś jeszcze wątpi sam, czy z tego cokolwiek dobrze zrozumiał. Do „*Débacle*“ przestudyował więcej niż sto dzieł o wojnie i przewertował wszystkie raporty dowodzących jenerałów; cała ta biblioteka nie opuszczała go nigdy, — ułożył wszystkie książki i dokumenty na ruchomej półce, która stała obok jego biurka. „Jakże odetchnąłem“ pisze „gdym tę seryę zamknął „Doktorem Pascalem“. Dla przedstawienia wymarzonego, wysoce idealnego zadania sztuki lekarskiej, które starałem się w tej książce rozwinąć, zaopatrzył mnie we wszystkie potrzebne materyały mój dobry przyjaciel, doktór Maurycy de Fleury. Pomocników chciałem, pomocników szukałem, pomocników znalazłem!“ Wymieniwszy różnych specyalistów, którzy mu zawsze śpieszyli z pomocą, pisze Zola dalej: „Uczeni zwłaszcza i medycy nacierpieli się odemnie najwięcej; nigdy nie dotknąłem kwestyi naukowej i nie opisałem choroby, nie poruszywszy poprzednio całego fakultetu. Korzystałem przytem z niezaprzeczonego prawa. Powtarzam, nie jestem uczonym, ani historykiem, jestem powieściopisarzem. Można odemnie wymagać tylko, bym znał przedmiot, o którym piszę i zba-

---

byk obojętnie pomijał to wyzwanie; rzec można było, iż zastanawiał się i nie chciał czynić próżnych wysiłków.

Ze wszystkich stron cyrku rozległo się świstanie. Publiczność karciła tchórzowskie zachowanie się kwadrylli. Próżno El Cocolo krzyknął na całe gardło: „Ustępuję! To bydlę brało już udział w igrzyskach!“ Świstanie tylko się wzmogło, nie chciano słuchać; krwią pijana gawiedź do końca poić się nią chciała. Błazny składające kwadryllę naradzać się poczęły, a byk wciąż stał w pośrodku areny, wspaniały, potężny, straszny. Stał nieruchomy, jakby ze spiżu odlany i czekał. Grzmoty oklasków sypnęły się na cześć jego. Wreszcie kwadrylla wskoczyła w arenę, powiewając kapami, lecz co chwila któryś z tych podszczuwaczy przesadzał baryerę, chroniąc się przed napaścią zwierza cwałującego wprost na człowieka. W tem rozległ się przeciągły okrzyk pomiędzy widzami: byk przeszył piersi jednemu z mniej hyżych prześladowców i znęcał się nad powalonym, bodąc go i tratując. Rzuciła się cała kwadryla na ratunek towarzysza i podczas gdy go unoszono, byk chwycił na rogi innego klewna i, podrzuciwszy go w górę, runął w dal, szukając nowego tryumfu. El Cocolo przeczuł złowrogą chwilę. Wśród wrzawy wzmagającej się wraz z zapadającym zmrokiem, wyróżniał głos dawnej swej kochanki; przechylona po za lożę słała mu najsroższe złorzeczenia. Wydała mu się uosobienie złego ducha. Rozkazał kwadrylli oddalić się za baryerę i sam z muletą i mieczem ukrytym po za siebie, wystąpił do walki z bykiem. Ten ryknął przeraźliwie, lecz nie drgnął nawet, gdy purpurowa chorągiew łechtać mu poczęła rozognione nozdrza. Wśród ciszy, jaka teraz zapanowała, rozległy się wyraźne słowa matadora:

— To nie byk! To sam szatan stoi przedemną!

Rzuciwszy muletę, El Cocolo przysiadł nieco dla nabrania rozpędu i zatopił miecz w grzbiecie byka, lecz zadany raz nie był śmiertelny i w tejże prawie chwili matador leżał powalony na ziemi, z piersią przeszytą rogiem, jakby sztyletem. Zwierz pewien śmierci wroga, nie znęcał się nad jego ciałem, pozwolił je unieść, rycząc żałośnie z własnego bólu. Stanął teraz przed nim inny matador, lecz mniej biegły w swej sztuce od poległego El Cocolo, wymierzył cios, lecz nie trafił w właściwe miejsce powyżej łopatki. Miecz utkwił pomiędzy żebrami. To partactwo w zadawaniu śmierci wywołało burzę naigrawań i złorzeczeń w roznamiętnionym do szaleństwa tłumie patrzących okrutników. Kwadrylla powiewała do koła czarnego byka jaskrawemi kapami, które kołysały się na kształt potwornych motyli, lecz zwierzę tracące krew strumieniami nie odpowiadało na te wyzwania, stało w miejscu, bijąc się gwałtownie ogonem po bokach a gdy matador poskoczył z trzymanym na storc mieczem, byk rzucił się naprzód i wbił się nań piersiami, prawie że po samą rękojeść.

Z utkwionemi w swem ciele trzema mieczami, zwierzę zwróciło się w bok areny, szukając wyjścia, odmawiając dalszej walki.

Gorączkowe zdenerwowanie tłumu burzyło się, dochodząc do szału. Wszyscy powstali z miejsc, wrzeszcząc nieludzkiemi głosami. Wieczorna ciemność zalegała olbrzymią przestrzeń cyrku, z górnych piętr prawie widzieć nie można było kończącego się w arenie dramatu. By koniec położyć rzezi, jakiś hiszpan podszedł ukradkiem tuż do boku słabnącego byka i ugodził go śmiertelnie pchnięciem sztyletu. Dzielnie, po bohatersku broniące się dotychczas zwierzę padło na przednie kolana i, wznosząc potężny łeb w górę, w ryku bolesnym wydało ostatnie tchnienie. Zgnębiony wrącym w duszy wstrętem, Merodack, chwiejąc się ze wzruszenia, chciał skierować się ku wyjściu, gdy oczy jego padły na postacie dwóch braciszków zakonnych przybyłych do cyrku w duchownych swych szatach. Zadziwił się ich widokiem. Wszak oni kapłanami bratniej miłości i współczucia się mianują?... Spojrzał na ich twarze. Były nieprzytomne szałem upojenia. Merodack zrozumiał, iż najokrutniejszym ze zwierząt jest c z ł o w i e k, człowiek gardzący bydlęciem, pyszny tem co cywilizacyą zowie; tworzyciel kultów; zwyrodniały syn natury.

dał grunt, na jakim zamierzam stanąć. Dlatego zaopatruję się we wszelkie możliwe dokumenty i czerpię ze źródeł, które są niezbędne; potem dopiero zaczyna się moja właściwa czynność, a polega ona na tem, aby ze wszystkich pierwiastków, jakie mogłem zdobyć, stworzyć rzecz żywą. Czy wlałem w moje postacie tchnienie życia, czy wytworzyłem cały świat, czy wydałem na świat istoty z krwi i ciała, prawdziwych ludzi?! Jeżeli tak jest, to zadanie moje spełnione i mało mię obchodzi, zkąd wziąłem doń bryłę ziemi!

Gdy Flaubert, po długich miesiącach usilnych studyów wstępnych, miał już nareszcie wszystkie dokumenty, potrzebne mu do nowego dzieła, odczuwał dla tych środków pomocniczych tylko niewypowiedzianą pogardę. Podzielam tę pogardę najzupełniej. Wszystkie te notatki są tylko cegłami, któremi artysta musi rozporządzać swobodnie, gdy przystępuje do budowy dzieła. Mam tylko jeden cel: życie! A prawda leży mi na sercu, bo ona tworzy życie.“ Przechodząc do dzieła swego „Rzym“, które nań ściągnęło zarzut plagjatu, Zola wylicza mnóstwo prac, z których czerpał, i zapewnia, iż cała szpalta dziennika wystarczyłaby zaledwie na pomieszczenie tytułów wszystkich książek o Rzymie papieskim, które przeczytał. Wspomina też o osobach, które mu dostarczały cennych objaśnień podczas jego pięciotygodniowego pobytu w Rzymie, a kończy te swoje zajmujące wywody jak następuje: „Jeden z moich przyjaciół nazwał mnie przed laty olbrzymim rekinem. Nie wiedziałem, czy mam się za to obrazić, czy uważać to za pochlebstwo. Chodzi tu, zaznaczam, o rekina, który dąży za okrętem i wszystko pochłania. W gruncie rzeczy, gdy się dobrze zastanowię, ten „rekin“ to wielkie pochlebstwo. Tak, jestem z tego dumny, chcę być rekinem, tym rekinem, który pochłania całą swoją epokę. Mam do tego prawo, a jeśli temu istotnie podołam, — to w tem moja chwała. Człowiek wielkiej twórczości, człowiek czynu nie ma innego zadania, jak stulecie swoje spożyć, strawić i stworzyć nanowo, wlać w nie ponownie życie. Jakże nie mam wzruszyć ramionami, gdy jakiś jegomość podnosi przeciw mnie oskarżenie o plagjat? Zużyłem przeszło trzydzieści lat mego życia na wytwórczość, i istnieją dzieci, więcej niż tysiąc, którym dałem życie, i stronice za stronicami, cały świat osób i wydarzeń. Czy nie dostatecznie dowiodłem mojej męskości, jako twórca ludzi? Czy moja rodzina nie jest taka olbrzymia, że należy z szyderczym śmiechem przyjąć oskarżenie, iż kradnę dzieci cudze? Daj pokój, daj pokój, mały człowieku, możesz powiedzieć, że spotrzebuję wszystko, że sobie wszystko przyswajam, ale nikt ci nigdy nie uwierzy, że gromada moich dzieci nie pochodzi w istocie odemnie!“

BADANIA HISTORYCZNE.

W rocznicę śmierci Jana Sobieskiego.

Dzień 17-go czerwca 1696 roku! Tra giczna data. Koniec i początek bolesnego końca! Dwieście lat temu król Jan III umiera w Wilanowie, w rocznicę swojej elekcyi. Król? Nie! Króla nie stało już od lat kilku. Sterał się w walce z niesfornością szlacheckiego demosu, zniechęcił się i dał za wygranę. Komu? Szlacheckiemu demosowi, naturalnie — no, i Marysieńce. Na wyżynie królewskiej roli, do której los go powołał, nie potrafił utrzymać się. Urodził się i umiera szlachcicem. O! pysznym szlachcicem, wspaniałem uosobieniem tej dynastyi królewiątek, która od piętnastego wieku zbudowała sobie własną swoją Polskę, dla swojej własnej przyjemności, pociechy i wygody, i dźwigała ją w górę, podpierała ją ramionami swojemi, dopóki mogła.

Szlachcic, rycerz, husarz w stalowej zbroi. Patrzcie, orle skrzydła na barkach mu siedzą, a pod skrzydłami dusza do orlich lotów sposobna, szlachetna, dzielna. Ach, co za żołnierz! I nietylko w powodzeniu do wielkich podźwigów zdolny. Słuchajcie go po przegranej pod Parkanami: „Fortuna się odmieniła, mówicie? Zdepczę fortunę jak małpę!“ I nie tylko rębacz; wódz całą gębą, taktyk, strategik. Pamiętacie go pod Żurawnem? Dwa tygodnie oblężenia wśród zaimprowizowanych w polu okopów; dwa tygodnie harców z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem, a potem najkorzystniejszy traktat, jakiego doczekała się kiedykolwiek rzeczpospolita z tej strony. A marsz pod Wiedeń! A szturm na obóz turecki z najmniej przewidzianej strony! A cała niesforna także rzesza niemieckich aljantów, trzymana w garści do ostatniej chwili, do zwycięztwa! Ale i po za placem boju nie prostak bynajmniej. Polityk, gracz wytrawny, wyćwiczony w niezrównanej szkole sejmów, sejmików i konfederacyi. Pilny czytelnik Machjawela, odzywający się z tem, że *„eventus non causae bellorum quaeruntur.“*

Czegóż mu brakowało tedy, aby być więcej, niż to, czem był, więcej, niż ostatnim jaskrawym promieniem zachodzącego słońca? O! wielu rzeczy. *Charakteru* najpierw. Tego nie wyrobiła w sobie, nie miała jak, gdzie i kiedy wyrobić brać szlachta. Od początku pojęła ona swój zawód jako romans bohaterski. Kilkotygodniowy, kilkomiesięczny w najgorszym razie bój z turkiem, czy z tatarzynem, a potem miły odpoczynek w domu. Dramat i sielanka. Zajrzyjcie też do tej wielkiej duszy wiedeńskiego bohatera: stal ostra i płytka; sztorcem tnie wybornie; ale na płask pierwszy lepszy szlachetka gnie ją kolanem aż do złamania. Otóż i złamał! Niech go tam! Z szabli złamanej będzie lemiesz. Szukajcie Żurawińskiego, żołnierza z r. 1691, w ostatniej, bezskutecznej, przez domowe burze zwichniętej wyprawie dla odzyskania Kamieńca. Nie zobaczycie go. Gospodarz tylko się został zabiegliwy. Dla kogo? Dla kraju? Gdzie tam znowu? Otóż i brak drugi w naszym ukrólewionym szlachcicu: brak pojęcia samego królewskości, jej przeznaczeń i jej zadań.

I spojrzyjcie więc jeszcze po domowem otoczeniu tego króla, tego boskiego pomazańca! Zobaczycie całą, powszednią, obyczajową czeladź szlacheckiego dworu. Na prawo, przy śmiertelnej pościeli, żona-francuzka. W tej uosobiło się znowu tradycyjne upodobanie do obczyzny, z jego znamiennemi cechami; wszystko to, cośmy polubili za granicami kraju i co przez długi szereg wieków staraliśmy się przyswoić sobie ztamtąd, więc paplanina francuzka, francuzki dowcip, francuzka ogłada i szyk, i szych, i błyskotki cudzoziemskie naogół. A zresztą nic, nic poważniejszego, praktycznego, użytecznego prawdziwie. Oto i on, Sobieski, oprócz żony, architektów z zagranicy sprowadził socie i pałac sobie wybudował we włoskim stylu. Ale ani śniło mu się wybudować jakąś fabrykę, zwerbować z Francyi czy z Niemiec jakichś rzemieślników, założyć jeden i drugi warsztat! Za to kochać umiał. Pamiętacie strzemię, oderwane od tureckiego siodła na wiedeńskiem pobojowisku, i posłane Marysieńce w upominku, z wiadomością o wielkiej wygranej?

Nie tak, o nie tak przystawało umierać polskiemu królowi! I czuje on to prawdopodobnie. I dlatego śmierć jego jest tak tragiczną! Mówią, że tonącym życie całe przesuwa się kalejdoskopowym obrazem przed oczyma. On od lat już kilku tonął — w rozgoryczeniu bolesnem, w sceptycyzmie beznadziejnym. „Niech ogień spali ziemię po mojej śmierci!“ — odpowiadał biskupowi płockiemu, Załuskiemu, zachęcającemu go do pisania testamentu. I zapewne stawało mu wtedy w oczach wielkie, straszliwe bankructwo całego, tylu nadziejami brzemiennego zawodu. Tyle trudów i tryumfów tyle, na co? dla jakiego rezultatu? dla zostawienia spadkobiercom jakiej spuścizny? Kraj rozdarty większą niż kiedykolwiek niezgodą, kłótnia Litwy z Koroną, Brzostowskiego z Radziejowskim, Sapiehów ze światem całym, sejmy zrywane raz po raz, wojsko nie płatne, zdemoralizowane. Zewnątrz, Europa z odmienionem od lat dwudziestu, i jakże groźnem teraz, niepokojącem obliczem....

Tam, na dalekim zachodzie, Francya, zniechęcona przystaniem do austryackiego przymierza i niemieckich familijnych związków, a zresztą chyląca się już do upadku. Tradycyjna jej opieka nad rzecząpospolitą, tradycyjna przewaga na targowisku elekcyjnem pod Wolą skończyły się. Znajdą się jutro inni, bliżsi licytanci! Ludwik XIV nadużył zdobytej hegemonii europejskiej i zużył w niej, wyczerpał narodowe siły. W szkole jego natomiast wyrośli od lat kilkudziesięciu inni kandydaci do wypuszczanego z rąk berła. Jeden w najbliższem zaraz sąsiedztwie: spanoszony kurfirst brandenburski. Niedawno do nóg padał królom polskim na rynku krakowskim, a dziś? Dziś własna poddanka króla polskiego, Radziwiłłówna, wolała kurfirstowego krewniaka, niż polskiego królewicza! I niemiec worał się od zachodu w szeroką piędź ziemi polskiej....

Przyjaźni francuzkiej nie zastąpiła austryacka. Wygrana pod Wiedniem ocaliła cesarstwo — na zgubę, rzec można, rzeczypospolitej. Marysieńka dostała strzemię, wojenna drużyna kilkadziesiąt bogatych namiotów, ale Polska co? Batory nie byłby poszedł pod Wiedeń. Byłby pokierował gdzieindziej, wyzyskał inaczej ten wielki, ostatni wysiłek rycerskiego animuszu. Ale Batory nie był szlachcicem. Dwuwiekowe bałamutne wspomnienia wojen krzyżowych nie pokutowały mu w głowie. Może zresztą było już zapóźno dla pchnięcia resztek narodowej energii, narodowego zapału w inną stronę. Rogaty pół-księżyc kłuł jeszcze oczy nabożnej szlachcie; innych nieprzyjaciół, innych niebezpieczeństw nie widziała ona, nie chciała widzieć. Domatorstwo opanowywało ją coraz bardziej, zasuwało w ospałą obojętność dla spraw wszelkich.

Sam Sobieski, jeżeli w przedzgonnych chwilach myślał boleśnie o rzeczach straconych, to dla tego, co się działo na wschodzie Europy, nie miał podobno zbyt przenikliwej troski. A działo się tam właśnie coś stanowczego dla przyszłych Rzeczypospolitej losów. Wyrósł tam człowiek, uosabiający także ciałem, umysłem i charakterem milionową rzeszą, tylko nie swawolnej braci szlachty, a karnych poddanych. Ciało miał muskularne, umysł bystry a nawskroś praktyczny, charakter żelazny.

Mieszkał w chałupie, pełnił służbę prostego żołnierza, w czasach wolnych od obozowych zajęć trudnił się dziesiątką rzemiosł rozmaitych, i od siekiery, młota, piły, hebla, nosił nagniotki na palcach. Cudzoziemców lubił, ale nie pytał ich o ostatnie mody paryzkie, ani o żargon wersalskich salonów,

Uczył się od nich okręty budować, armaty lać i płótno wyrabiać na żagle. Z turkiem wiódł także wojny. Choć się więc wiązał także traktatami z Austryą, o podawaniu ręki wojskom cesarskim nie pomyślał wcale. W roku 1695 poszedł pod Azów, szukając drogi poprostu do morza Czarnego, do handlu ze Wschodem. Nie powiodło mu się; ale się uparł. Umiał być upartym, czego po za krótkotrwałą chwilą wojennego rozgorączkowania, nie potrafił nigdy żaden szlachcic polski. W roku następnym ponowił próbę, i właśnie na dzień Wilanowskiej katastrofy dopinał swojego celu. Ten szlachcicem nie był na włos jeden, ani romantykiem. Był monarchą.

W dziesięć lat później zobaczyła Rzeczpospolita tego sąsiada w swych granicach. A jeszcze pierwej staje w niej czwarty sąsiad od północy: Karól XII, zaprawiający się w tej chwili na niedźwiedziach do walki z połową Europy.

Może przyszłość majaczyła w głowie umierającego szlachcica, kiedy mówił Zaluskiemu o „żniwie złego, które tak urosło, że już o nic nie dbać i o nic troszczyć się nie warto, tylko o zbawienie duszy“. Duszę zbawił zapewne. Anieli musieli ją zanieść na rękach wprost do nieba, tak była czystą i piękną, tylu cnotami zdobną! Nie skrzywdził nikogo; nie przelał niczyjej krwi niewinnej. A jak umiał, póki mógł, walczył, pracował, poświęcał się nawet. Tak, to co było w nim nieziemskiego, aniołom się dostało: ale resztę...

Trupowi tego rzekomego króla korony zabrakło. Marysienka wzięła koronę pod klucz, i wydać nie chciała. Poradził wierny druch bojowy, Matczyński: hełmem rycerskim przyodział głowę Wiedeńskiego zwycięzcy. Tak poszedł do grobu ostatni szlachcic wielkiego imienia, ostatni żołnierz dużej ręki w Polsce.

K. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

V.

(Znowu o Tow. Szkoły Ludowej. Słówko o pensyonatach. Gimnazyum żeńskie. Nerwowy wiek. Jak u nas czytają. Walne Zgromadzenie „Koła pań“.

Błogo czołem uderzać przed zasługą rzetelną. W tak miłem właśnie jestem położeniu. Pierwsza moja korespondencya w „Przeglądzie Pozn.“ wywołała wielkie rozgoryczenie wśród naszych stowarzyszeń kobiecych i jakby dla potwierdzenia słowa poety: „Gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia“, spowodowała pewne ożywienie sennego ruchu. Zakrzątnięto się około wyznaczenia miejsca, gdzieby się zapisać można, oprócz lokalu Czytelni dla kobiet, o każdej porze do Koła pań z tow. szkoły ludowej i ogłoszono to we wszystkich dziennikach. Zdaje się, że teraz przynajmniej narzekać nie będą miały prawa te osoby, które jeszcze dotychczas do tego wielce użytecznego, podstawowego prawie w naszem społeczeństwie towarzystwa nie należą. Równocześnie te same panie zajęły się gorliwie rozsprzedażą numeru pamiątkowego „Małego Swiatka dla dzieci“, który wydano w rocznicę dwusetną śmierci króla Jana III Sobieskiego. Rozsprzedano go w liczbie 14 tysięcy egzempl. a trzeba przyznać *suum cuique*, że stało się to jedynie dzięki energii wydziału towarzystwa szkoły ludowej; panie chodziły niezmordowanie po wszystkich naszych zakładach szkólnych, powierzając dyrekcyom i nauczycielom rozsprzedaż egzemplarzy dziesięciocentowych. Dochód z rozsprzedaży przeznaczono na cele towarzystwa.

Towarzystwo szkoły ludowej w Przemyślu, a głównie Koło pań tamtejsze, zajęło się urządzeniem kolonii wakacyjnych dla ubogich dzieci; zasługa staje się tem większą, że dotychczas w Przemyślu tej myśli nie podjęto jeszcze; Kolonie wakacyjne dla ubogiej dziatwy i kolonie lecznicze dla chorych dzieci znano nieomal wyłącznie we Lwowie i w Krakowie.

A skoro już o szkołach mowa, tedy zwrócimy uwagę na kwestyę pensyonatów u nas. Posiada ich sporo Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów i inne drugorzędne miasta. We Lwowie istnieją dawne pensyonaty o wyrobionej sławie i opinii, a do najznakomitszych należą zakłady p. Niedziałkowskiej i M. Bielskiej, autorki pierwszej u nas *historyi p dagogii* w języku polskim. Nieco mniejszą popularnością cieszy się pensyonat pani Zagórskiej, prócz tego istnieje w tym roku założony pensyonat panny Strzałkowskiej i Grusiewicz. Jak się dowiadujemy z wierzytelnych źródeł, zostanie od września br. począwszy otworzony nowy pensyonat dziesięcioklasowy w tej dzielnicy, w której dotychczas ani szkoły w pobliżu ani pensyonatu nie ma, to jest przy ulicy Mikołaja, — na drodze do sławnego parku Kilińskiego. Kurs szkolny po pensyonatach zakończył się i w końcu czerwca odbyły się zwykłe popisy wszędzie. Oczekiwania rodziców i publiczności interesowanej nie zostały zawiedzione, a mianowicie tracą coraz więcej na sile swojej zarzuty, z jakiemi odzywano się u nas do niedawna, że w pensyonatach kształcą głównie pamięć, nieuwzględniając myślenia. Rozsądne odpowiedzi uczennic na pytania zadawane przez obecną na popisach komisyę rugują zupełnie pojęcie dawniejsze o pensyonarskich pozytywkach.

Wobec dzisiejszego ogólnego zdenerwowania i fizycznego zwyrodnienia należałoby jednak pomyśleć o radykalniejszej reformie pedagogii naszej. Odzywają się coraz liczniejsze głosy, domagające się wyrzucenia z repertuaru wiedzy w szkołach podawanej tych wiadomości, które jako arcy-abstrakcyjne, nie mają ani wartości utylitarnej ani nawet ogólnie kształcącego wpływu. Tedy zredukować matematyczną wiedzę szkólną do form najużywańszych i najpotrzebniejszych: gramatyki uczyć w sposób krótki, jędrny, na przykładach, a Boże broń, na teoryi opartej. Dążyć do tego, by nauczyć dobrze bodaj jednego języka obcego. Uczyć więcej literatury i gruntownej nauk przyrodniczych. Do takiej koniecznej i bardzo upragnionej reformy zdążają nowe plany i programy, jakie w roku przyszłym zostaną wprowadzone w lwowskich i krakowskich szkołach wydziałowych. Będą one już, nie jak dotychczas ośmioklasowe, lecz dziewięcioklasowe.

W Krakowie prawdopodobnie gimnazyum żeńskie, pierwsze na ziemi galicyjskiej, ściągnie więcej studentek, aniżeli nawet zreformowane szkoły wydziałowe. Lwów na gimnazyum poczeka sobie jeszcze, jakkolwiek i tutaj znalazła się fundatorka hojna i cały swój majątek przeznaczyła zrazu na wzniesienie a przynajmniej zapoczątkowanie gimnazyum żeńskiego. Była to niejaka panna Kosko, odbywająca niegdyś studya w Zurichu. Gdy we Lwowie oświadczyła gotowość ofiarowania swych 20 tysięcy na gimnazyum żeńskie, zagrały wszystkie pisma radosną reklamą, lecz nagle zdarzył się fakt, wprawdzie zwyczajny, ale w tym razie niespodziewany: Panna K. wyszła za mąż i fundacyę wzięły w opiekę duchy hymenu. Zawód bardzo był nieprzyjemny, a niedoszła fundatorka próbowała wrażenie niemiłe ułagodzić, pisząc, że nigdy owych 20 tysięcy nie zapisywała na gimnazyum, lecz tylko *rentę z nich*, czego i obecnie nie cofa. Co dalej... nie wiemy. Zdaje się, że nic. Na razie zatem mamy jedynie gimnazyum w Krakowie, wpisy już się odbywają. plan nauk szczegółowo został wypracowany. Wobec ogromnej hyperprodukcyi zawodu nauczycielskiego, jak również przepełnienia na posadach kobiecych pocztowych, nowe pole studyów i pracy jest rzeczą niezbędną, i jest nadzieja, że studya gimnazyalne u nas otworzą obfite źródła wiedzy i życia. a temsamem zmniejszą zaciętą walkę o byt, która toczy się w obecnych dziedzinach pracy kobiecej.

Wspomnienie o walce przypomniało mi znowu wrzenie umysłów pośród czynniejszych członków lwowskiego Koła pań tow. szkoły ludowej. „Przegląd Poznański“ za mało ma u nas abonentów, jak to w Galicyi wogóle ludzie prenumerowanie pism poważniejszych uważają jeszcze za zbytek. Stąd też ktoś przeczytał artykuł o stowarzyszeniach galicyjskich w „Przeglądzie Poznańskim“ opowiedział komuś drugiemu, ten drugi, czy ta druga mniej dokładnie trzeciemu, ktoś trzeci jeszcze niedokładniej, ale z tem bujniejszem zabarwieniem fantazyi komuś czwartemu — i tak wszyscy *niby czytający* opowiedzieli jednę i tę samą rzecz w najniewłaściwszy sposób, tak, iż w końcu urosła bajka, iż artykuł, o którym mowa, przedstawia w czarnych kolorach całe towarzystwo szkoły ludowej i jego tendencye. Otóż ośmielamy się spytać przedewszystkiem: Czy jest u nas chociażby najbardziej miałki umysł, którywy mógł potępić tendencye towarzystwa szkoły ludowej? Przy sześciu zdrowych zmysłach, a chociażby przy pięciu — tego nikt w całej Polsce nie uczyni, boć każdy czuje i rozumie to doskonale, że to rdzeń naszego bytu, dusza naszych dążeń.

A teraz drugie pytanie: Czy wytknięcie usterek jednej z kilkudziesięciu filii towarzystwa (bo „Koła“ niczem innem nie są, jak tylko filiami) może uchodzić za potępienie całego towarzystwa, albo chociażby tej jednej filii? Wytknięcie usterek to nie potępienie, to jeno pragnienie, by nic nie stało na przeszkodzie towarzystwu do pomyślnego rozwoju. A po trzecie: Łaskawe Panie, czemu nie przeczytałyście odnośnego artykułu, jeno polegacie na wykrzywionem powtórzeniu z dziesiątej lub dwudziestej ręki?

Po tem rozstrząśnięciu sprawy przystępujemy jeszcze do zanotowania, że w końcu ubiegłego tygodnia, t. j. 26 czerwca odbyło się walne zgromadzenie „Koła pań“ towarzystwa szkoły ludowej. W obecności kilkudziesięciu osób sekretarka zdała sprawę z czynności Wydziału, od którego dowiadujemy się, że lwowskie Koło pań liczy 805 członków. Takiej liczby nie dosięgało u nas żadne Towarzystwo; dalej, że w ciągu roku 1895 Wydział odbył 30 posiedzeń i jedno nadzwyczajne zebranie, na którem głównie poruszoną była myśl budowy szkoły w Białej. To też cały rok krzątano się około zbierania funduszów na ten cel i posłano 118 złr. 90 cent., nie licząc funduszu uzyskanego ze sprzedanych cegiełek (książeczki z kartkami po 10 cent.) przysłanych z Zarządu głównego z Krakowa. Dalej zajęło się Koło pań budową szkoły we wsi Łukowiec i posłało na tę budowę 1000 złr.

Ażeby zebrać fundusz odpowiedni urządzono płatne odczyty, koncert i staropolskie święcone. Dochód z samego „Święconego“ wynosił 930 złr. Poszczególne komisye lwowskiego Koła pań zaopatrywały czytelnie, w książki, ubogą dziatwę w ciepłą odzież źle uposażone szkoły w kajety oraz w przybory do nauki i do robót ręcznych, a komi-

sya przemysłowa zajmuje się wydawnictwem papierów listowych z winietami towarzystwa szkoły ludowej. Nadto Koło pań udzieliło stypendyum dla kształcącego się na nauczyciela ludowego M. O. w kwocie 60 złr. Do budowy szkoły w Uhnowie przyczyniło się „Koło“ kwotą 66 złr. i jeszcze wedle wymagań statutu wysłało Zarządowi głównemu w Krakowie 422 złr. 35 cent. Jak na przeciąg jednego roku zrobiono w istocie sporo, zwłaszcza, gdy się uwzględni, że członkowie czynni zajęci są pracą swą zawodową, sporo czasu zabierającą, — a Wydział obejmuje tylko ośmiu członków. Bardzo tedy słusznym jest projekt pomnożenia członków wydziału. Piękny ten rezultat prac całorocznych każdego utwierdzić musi w przekonaniu, że jakkolwiek są obojętni i obojętne, to nie brak takich, co umieją sprężyście wziąć się do czynu. Oby w przyszłym roku przyszło nam na czele sprawozdania położyć liczbę członków nie 800 lecz ośm tysięcy.

J. Aleksota.

Walka z alkoholem

w Północnej Ameryce.

II.

Nie ma chyba rozumnego człowieka, którzyby nie uznawał korzyści połączonych ze spoczywającym na racyonalnych zasadach i trzymającym się we właściwych granicach ruchem, dążącym do szerzenia wstrzemięźliwości. Ale jak wiadomo, natura Amerykanina skłonną jest do krańcowości. Skoro jakakolwiek idea zdobędzie sobie popularność, natychmiast ujawniać się zaczyna przesada w jej propagowaniu. Tak wyrodził się tamże ruch wstrzemięźliwości, skoro od umiarkowanych jego krzewicieli, nie uważających bezprzesadnego używania gorących napojów za grzech śmiertelny, odłączyła się partya, która niezadowolona z powyższem zapatrywaniem, nietylko sobie samej nakazywała zupełną wstrzemięźliwość (total abstinence) od wszelkich gorących napojów, ale starała się także wmusić tę abstinencyę swym współbraciom. W zapale swym apostolskim, posuwającym się tak daleko, że wyganiali wino z kielichów do komunii i zastępowali je zabarwioną wodą lub moszczem, stali się ci ludzie fanatykami, którzy niezadawalając się głoszeniem wstrzemięźliwości z ambon i mównic, starali się skłonić ciała prawodawcze pojedyńczych stanów do uchwalenia praw, zakazujących wyrobu i sprzedaży napojów wyskokowych. W stanach, w których dzierżył przewagę, przybyły pospołu z purytaninami do Ameryki surowy duch kościelny, prohibicyoniści (od prohibition, zakaz) łatwe odnieśli zwycięstwo, i w rzeczy samej udało im się już w latach 1846 i 1851 wpłynąć do tego stopnia na legislaturę stanu Maine, że uchwaliła tak zw. prohibicyjne prawo. I w innych stanach zwyciężyli prohibicyoniści, tak w r. 1858 w Vermont, w 1854 r. w Conecticut, 1855 w New-Hampshire i New-York, później w Rhode Island, Delaware, Massachussets, Ohio, Indiana, Illinois, Michigan, Jowa, Dakota, Nebrasko i Kansas. Od połowy bieżącego wieku stali się prohibicyoniści poważnym czynnikiem politycznym, mianowicie odkąd się połączyli w narodowe stronnictwo, które w r. 1872 postawiło własnego kandydata na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. W programie swym politycznym domagali się zupełnego zakazu wyrobu i sprzedaży gorących napojów. W uznaniu ożywionego udziału kobiet w szerzeniu wstrzemięźliwości domagali się oprócz tego prohibicyoniści rozszerzenia prawa ogólnego głosowania na kobiety w przekonaniu, że przyznanie tego prawa płci słabszej wzmocni w wysokim stopniu potęgę „prohibition party“.

Gwałtowna agitacya tych fanatyków umiarkowania, nie liczących się wcale z nawyknieniem i zwyczajami swych współbraci, z samej natury rzeczy obudzić musiała ducha oporu, zwłaszcza w kraju, którego konstytucya zapewnia obywatelom jak najobszerniejszą swobodę osobistą. W razie, gdyby przesadzone wymagania prohibicyonistów uzyskały moc prawną, to obawiać się należało, że prędzej czy później i inni fanatycy starać się będą o uchwalenie zakazów, używania tytoniu, zwiedzania teatrów, koncertów i balów, które to niewinne rozrywki, jak wiadomo w oczach niektórych świętoszków za takie same uchodzą zgorszenie, jak spożycie bifsztyku w oczach wegetaryanów, uważających w tem spożywaniu „trupów zwierzęcych“ wstrętny zabytek ludożerstwa. Ponieważ trzeźwo myślący abywatele nie chcieli się narażać na takie następstwa, przeto zaczęto zakładać przeciwne stowarzyszeniom wstrzemięźliwości związki, które przez wybór liberalnych urzędników, dążyły do zniesienia lub przynajmniej łagodnego wykonywania praw prohibicyjnych, co im się też udało w kilku z wyżej wymienionych stanach, tak że dzisiaj zakaz używania gorących napojów istnieje jedynie w Maine, New-Hampshire, Jowa, Vermont, obu stanach Dakota i Kansas.

W walce tej przeciwko wstrzemięźliwości wybitny biorą udział Niemcy, zamieszkali w Stanach Zjednoczonych, nietylko jako potomkowie narodu, z dawien dawna hołdującego pijaństwu, lecz głównie i z tego powodu, że znaczna bardzo liczba Niemców zainteresowana jest w wyrobie i sprzedaży gorących napojów. Fabrykantom jednak gorących napojów i szynkarzom agitacya ta szerzenia wstrzemięźliwości, nietylko pod względem materyalnym dała się we znaki. Prohibicyoniści nie ograniczyli się bowiem na samem wyklęciu alkoholu, lecz jako prawdziwi fanatycy ogłosili za pozbawionych czci wszystkich tych, którzy się trudnią wyrobem i sprzedażą gorących napojów. Zapatrywanie to przyswoili sobie w ostatnich czasach pewni, polujący na głosy prohibicyonistów politycy, oświadczając jawnie, że szynki stoją na tym samym poziomie co pewne inne domy publiczne, oraz, że handel gorącemi napojami stanowi największą zbrodnię przeciwko przyzwoitości i moralności. Na uwagę zasługuje dalej, że w ostatnich czasach z wielu katolickich lóż i związków wykluczeni zostali piwowarzy, destylatorzy, szynkarze i w ogóle osoby, trudniące się sprzedażą gorących napojów.

Jeśli z jednej strony środki te wywoływały niepotrzebnie nienawiść i rozgoryczenie, to z drugiej znów zakazy te nie wywarły oczekiwanego dobroczynnego wpływu na moralność publiczną. Przeciwnie stwierdzono, że zakazy wyhodowały oszustwo, obłudę i najwstrętniejszy z wszystkich nałogów: tajne pijaństwo. Nie zaprzeczy temu nikt obeznany cokolwiek bliżej ze stosunkami, panującemi w stanach prohibicyjnych. Wszędzie omijano zakaz sprzedaży piwa, wina, whiskey w ten sposób, że napoje te sprzedawano pod innemi nazwami, jako „sos niemiecki“, „morską pianę“, „napój boski“, „herbatę brunatną“ i t. p. Zamiast z kufli pito piwo z filiżanek do kawy, lub jedzono łyżkami z talerzy. Ponieważ lekarzom wolno było zapisywać płyny alkoholiczne, przeto szynkarze zamienili się w przeciągu jednej doby na lekarzy, zapisujących cierpiącym na pragnienie pacyentom w najliteralniejszy sposób te dawki alkoholu, jakich wymagał stopień ich choroby, czy pragnienia. Inni szynkarze zamykali ostentacyjnie główne bramy swych zakładów, zaopatrywali jednak stałych swych gości w klucze do drzwi bocznych. W Desmoines, w stanie Jowa, założyli szynkarze w dowcipny sposób ze swymi gośćmi towarzystwo akcyjne, w ten sposób, że każdemu członkowi towarzystwa przysługiwało prawo nabyć każdego czasu akcyę, wartości ćwierć dolara i akcyę tę niezwłocznie zrealizować w piwie, winie, lub whiskey. Szynkarz więc nie „sprzedał“ piwa i literze prawa stało się zadość.

W hotelach omijano zakaz w ten sposób, że za napoje skonsumowane przez gości nie pobierano zapłaty lub nie umieszczano jej w rachunku, lecz obliczano należność pod rubryką „extra“. W klubach „wypożyczano“ jedynie członkom butelki, napełnione winem lub piwem, zobowięzywano ich jednak do zwrotu nieuszkodzonych butelek. Następowało to przy najbliższej podróży do stanu nieprohibicyjnego, zkąd przemycywaną bywała taka sama liczba pełnych butelek, jaką wypróżnił członek klubu, w starych kufrach i skrzyniach do lokalu klubu.

Stosunki te, otwierające na rozcież wrota obłudzie i oszustwu, wynikające ztąd, że apostołowie umiarkowania sami nie znają miary, istnieją w stanach prohibicyjnych do dnia dzisiejszego, a istnienie ich odczuwane bywa przez wszystkie trzeźwo myślące jednostki jako hańba, niegodna kraju, szczycącego się tak chętnie, że jest najswobodniejszym na całej kuli ziemskiej.

K.

Olbrzymi kanał.

Francya nie straciła jeszcze śmiałości do wielkich pomysłów po sprawie panamskiej i śmierci Lessepsa. Obecnie stworzyła ona niezwykły projekt, tem bardziej zasługujący na uwagę, że już go traktują nie jako fantazyę, ale rzecz, mającą, podstawy realne. Oto postanowiono połączyć olbrzymim kanałem morze Baltyckie z Czarnem. Według opisu, podanego w Nord na podstawie informacyi p. Flourensa, jednego z inicyatorów przedsięwzięcia, dzieło to ma się tak przedstawiać: Kanał przejdzie od Rygi do Chersonu. Według projektu powinien on mieć 64 metry szerokości na powierzchni wody i 25 m. na dnie, przy głębokości 6 i pół m. Pozwoli to na przypływanie największych statków handlowych i wojennych z jednego morza do drugiego. Ogólna długość wynosić ma 1,800 kilometrów. Kanał przejdzie korytem Dźwiny, Berezyny, a następnie Dniepru. Pomiędzy Dźwiną a Berezyną będzie urządzony kanał łączący. Wielkie jezioro centralne, mające około 250 hektarów między Prypecią a Berezyną ma być zachowane, przy pomocy Prypeci będzie się łączyło z Niemnem i Wisłą. Na całej długości kanału w główniejszych miastach mają być urządzone porty, mianowicie w Chersonie, Nikopolu, Aleksandrowsku, Ekaterynosławiu, Krzemieńczuku, Kaniowie, Kijowie, Dźwińsku, Rydze. Dalej za pomocą skanalizowania rzeczek bocznych główna droga może być połączona z szeregiem miast, jak: Czernihów, Połtawa, Żytomierz i t. d. Siła spadku wody ułatwi urządzenia oświetlenia elektrycznością na całej przestrzeni, co pozwoli na pływanie statków zarówno w dzień, jak nocą. Na przejazd kanałem z Rygi do Chersonu potrzeba będzie sześciu dni, licząc przeciętnie 6 węzłów na godzinę. Od chwili rozpoczęcia robót kanał może być ukończony w ciągu lat 5-ciu. Inicyatorowie przedsięwzięcia pragną otrzymać koncesye na lat 66, rząd ma gwarantować 4 proc. od

akcyi i 1 proc. na amortyzacyę. Państwo otrzyma prawo bezpłatnego przewozu statków wojennych i transportowych i będzie posiadaczem pół części akcyi.

Podziwiać tu trzeba śmiałość pomysłu i zarazem dobrze wyrachowaną jego celowość. Taki kanał zrobiłby olbrzymi przewrót w komunikacyi morskiej całej Europy, a pośrednio i innych części świata. Transporty, odbywające dziś długą drogę dokoła Europy południowej przez cieśninę Gibraltarską i Dardanelską, zyskałyby znacznie na skróceniu czasu i przestrzeni. Cały punkt ciężkości handlu morskiego przeszedłby z portów południowych i zachodnich ku północnym; taryfy wreszcie uległyby również przewrotowi; słowem północna droga morska ożywiłaby się znacznie i za pośrednictwem morza Czarnego, tudzież kolei Zakaukazkich i Zakaspijskich wpłynęłaby na przekształcenie stosunków wymiennych ze Wschodem azyatyckim. Oczywiście udział znaczny w tym ruchu wezmą: Ameryka północna, Anglia i Niemcy.

Co zaś do Rosyi, kanał ten będzie miał dla niej niezmiernie doniosłe znaczenie zarówno pod względem handlu zewnętrznego, jak i warunków ekonomicznych wewnątrz państwa, szczególnie na całej przestrzeni olbrzymiej między Bałtykiem a morzem Czarnem. Zbudowanie portów morskich na kontynencie, — to jest dzieło przechodzące wszelkie dotychczasowe marzenia. Wyobraźmy sobie, jak dalece zmienić się może charakter tych rozległych płaszczyzn, ile nowych czynników wprowadzi ta arterya morska do życia ekonomicznego i społecznego milionów ludności, rozsianej nad brzegami Dźwiny zachodniej, Berezyny, Prypeci, Dniepru i ich dopływów. Podania mówią o szczątkach wielkich statków, które znajdowano w głębi bagnisk poleskich i ztąd wnoszono, że tam niegdyś panował żywioł wód bezbrzeżnych. Tradycya z zamierzchłych czasów zbudzi się w rzeczywistości z tą różnicą, że ów żywioł już nie bezbrzeżny, lecz ujęty w łożysko, przez sztukę inżynierską zbudowane, poniesie na swych grzbietach ten cały kolos handlu międzynarodowego i strategii, krążący dzisiaj po rozległych przestworach wód morskich. Obecne drobniuchne żyłki komunikacyjne, służące dla spławu materyałów drzewnych do Chersonu, Mikołajewa, Memla, lub dla drobnego handlu krajowego, stałyby się naraz potęgą interesów międzynarodowych. Kijów, Krzemieńczuk, Ekaterynosław walczyłyby o lepsze z pierwszorzędnemi portami morskiemi.

Zważmy jeszcze, jak doniosłą rolę odegrać może na przyszłość olbrzymia droga wodna dla floty rosyjskiej, która dziś, skutkiem warunków geograficznych, stanowi parę grup oddzielnych. Flota baltycka nie może zasilić czarnomorskiej, chyba bardzo długą drogą dokoła Europy, co w pewnych wypadkach strategicznych jest rzeczą niemożliwą.

Nie wnikamy w stronę techniczną tego kolosalnego przedsięwzięcia, o którego wykonanie toczą się już podobno układy. To tylko nadmienimy, że znacznem ułatwieniem zapewne będą łożyska rzeczne, których pogłębienie, rozszerzenie i ujęcie w ściśle karby, zależy od sztuki inżynierskiej.

Zn. P.

TO I OWO.

Z mętów społecznych.

Zamordowanie baronowej de Valley przypomniało Paryżowi, że istnieje w stolicy cała armia złoczyńców. Wydano prawo, pozwalające wysłać na całe życie do kolonii dalekich złodzieja kilkakrotnie skazanego, ale prawo to rzadko bywa zastosowane, ponieważ koszt podróży wysoki, ucieczki częste, a na miejscu nie umieją z temi żywiołami dać sobie rady. Setki ludzi praktykuje w Paryżu grabież i mord, jako jedyne rzemiosło, zbierają się po knajpach, obradują spokojnie, policya płaci szpiegów, lecz zwyczajnie uwiadomiona jest po czasie. W świecie złodziejskim najgorsza kategorya najmniej naraża się. Są złoczyńcy, którzy jedynie szukają, gdzie można zbrodnię korzystną wykonać i wskazówek tych udzielają odważniejszym. — Zwykle skazani są stręczyciele zbrodni arcyłagodnie, do zbrodni ręki nie przyłożyli, nie byli naocznymi jej świadkami. Po roku więzienia wracają do swoich poszukiwań.

Baronowa Valley była skąpą lichwiarką. Żyła z gałganami, wynajdującymi jej nieszczęśliwców, których niemiłosiernie wyzyskiwała. Za totumfackiego używała młodego łobuza Lagueny, który złoczyńcom z profesyi podał myśl zgładzenia jej. Jego historya jest historyą tysięcy mu podobnych, wałęsających się po Paryżu zbójców.

„Nie miałem grosza. Wiedziałem, że baronowa mi testamentem coś zapisała. Postanowiłem szukać takich, coby ją zamordowali. Była bardzo stara. Nie skracało to znacznie jej życia. Zkąd pochodzę, nie wiem. Nazywam się Lagueny, ale nie jestem pewny, czy to prawdziwe moje nazwisko. Matka mną się nie zajęła. Puszczono mnie małym chłopcem na ulicę. Żyłem czasem z jakich robocizn, zwykle strawę moją dostawałem w *fourneaux économiques*. (Jest to instytucya dobroczynna, rozdająca darmo trochę zupy i kawałek mięsa). Spałem w nocnych publicznych schronieniach. Nie umiem ani czytać, ani pisać. Ferrau i Kiesgen, którzy wprowadzeni do mieszkania baronowej, udusili ją, są „darwiniści“ praktykujący.“ „Wielka to rzecz! — odpowiedział Kiesgen sędziemu śledczemu — nie tak strasznie skrzywdziliśmy staruszkę, zabijając ją. Nie pozostawało jej, jak kilka miesięcy życia. Gdyby była młodą, zawahałbym się. Starej nie było czego żałować“.

Walka o życie wyradza podobne rozumowania w istotach, w których sumienie nie rozbudziło się, które wychowały się i żyły w najohydniejszem otoczeniu. — Cywilizacya szczyci się z elektrycznego oświetlenia ulic, a w szkołach ludowych nawet dziesięciu przykazań już nie uczą i dzieci, pozbawione opieki moralnej, rosną narażone na najgorsze pokusy stolicy, nie słyszawszy nawet o prawdach, które naprowadziłyby je na właściwą drogę. Lagueny aresztowany, odpowiedział: „Nic sobie z tego nie robię! Nie mam już ani grosza. Wspólnicy moi okradli mnie w podziale łupu. Wydam ich i zemszczę się“. Samą siłą materyalną nie poskromi się dziczy zgłodniałej, zepsutej do szpiku, rojącej się po mieście; siły moralnej brak społeczeństwu zmateryalizowanemu, które dba o zabezpieczenie bogactw swoich, a nie o poprawę bytu i duszy nędzarzy.

* * *

Z wystawy hygienicznej w Warszawie.

Na wystawę hygieniczną w Warszawie przysłał Dr. Wysokiński nader ciekawy zbiór przedmiotów, odnoszących się do samoleczenia i praktyk znachorskich ludu z okolicy Międzyrzeca. Są tam przedewszystkiem „korzenie maciczne“; paznogcie, obcięte od „zimnicy“, które zakopują w ziemię, parę drągów osowych do nacierania brzucha „od uroków“, stalowe obrączki, mające zabezpieczać od choroby św. Walentego. Dalej widzimy szklankę z kawałkiem chleba i wetkniętemi w niego 3-ma zapałkami, „do stawiania na pępku „nitkę z miotły“ od womit; woreczek z jakiemś zielem „od złego oka“; pas ze skóry węgorza od gośćca; igłę, którą łamią nad dzieckiem w czasie konwulsyi, „wilcze gardło“ od bólu gardła, pasek antycholeryczny żydowski, mąka na sołoduchę itp. Zważywszy, że wszystko to zebrane przez jednego człowieka, widzimy, jakie bogactwo tego rodzaju zbiorów moglibyśmy mieć przy dobrej woli inteligentnych lekarzy z innych okolic kraju.

Obok tych zbiorów wisi kilka tablic z modlitwami znachorskiemi, z których jedną pozwolimy sobie przytoczyć:

W Imię Ojca—itd. Zdrowaś Marya-—itd.

Róża, rózico!
Kołtunie, kołtunico!
Macico, macico!
Wyleź z głowy w piersi,
Z piersi w brzuch,
Z brzucha w kości,
Z kości w golenie,
Z goleni w stopy,
Ze stóp w palce,
Z palcy na sto łokci w ziemią.
Nie ja lekarz,
Pan Bóg lekarz;
Ciebie boli, ty wyrzekasz.
Czy pomoże, czy nie pomoże,
Zapłać nieboże!

NA WYŁOMIE.

(Sylwetki Sokołów.)

Szanowna Pani!

Obiecałem, że w Twoje Zakopiańskie ustronie prześlę ci bukiet niezapominajek z sokolskiego święta. Lękam się jednak, że w szeregu tych, którzy kwiaty takie u stóp Twoich złożą, będę ostatni, — że moje niezabudki nic Ci nie powiedzą, prócz tego, co starsze ich siostry, inną zerwane ręką, już zdradziły Tobie. Za żadną cenę nie chcę znudzić Pani, — jesteś piękną, gdy mówisz, piękną, gdy milczysz, piękną, gdy się uśmiechasz, lecz gdy ziewać zaczniesz.... tu jak Słowacki kropki tylko kładę. Zrozumiesz więc, że z roli urzędowego herolda muszę rezygnować i z wspomnień moich te tylko dobędę, które ani płomieni ani akcentów silnych może nie posiadają, których jednak widz przelotny, nie wtajemniczony w głębiny życia sokolskiego, pozbierać nie umie.

Sokół! ptak w ptaka szary i amarantowy, lecz podaj mi rękę i pójdź w tłum szeroki, wsłuchaj się w głosy zmieszane, połóż dłoń na sercach, a wtedy zadziwisz się może różnobarwnością tych sokolskich typów. Ot! widzisz, ten wysoki mężczyzna z krótko przystrzyżoną brodą, gestykulujący tak żywo, o błyszczących oczach, to jeden z najlepszych i najdzielniejszych Sokołów. Patrz! jakiś „cywil“ zbliża się do niego, — on patrzy z pogardą i pyta:

— Pan nie sokół?

— Nie, panie!

— Tfu, do djabła, to pan nie człowiek.

Tak! piękna pani, — to fanatyk u którego człowiek „zaczyna się dopiero od sokoła“, — oczywiście kobiety stanowią wyjątek z reguły ogólnej. Jest on inżynierem rządowym w małej mieścinie galicyjskiej, a nie posiadając karku giętkiego i gardząc bluszczową wegetacyą, nie umiał sobie zaskarbić łaski cesarsko-królewskiej. Więc rzuca nim władza jak piłką z miasta do miasta, a on idzie z uśmiechem na twarzy, i gdzie nogę postawi, Sokoła zakłada. Prześliczna postać! twarda, nieugięta, cała oddana idei sokolskiej. Widzi pani, jak jednemu z towarzyszy odrywa kwiat od munduru. Rzuca go o ziemię i mówi:

— „Zostaw to druh lowelasom“.

Właściciel róży zamroczył się, lecz spojrzał na wstęgę prezesa i salutując, bez słowa odstąpił. W tej chwili jakaś młoda jeszcze kobieta z małym chłopczykiem zbliża się do surowego Sokoła. — Powitał żonę, ucałował chłopca.

— Przychodzimy po ciebie Władku. Henrykowie czekają z herbatą.

Potrząsnął głową.

— Nie mogę, najprzód służba sokolska.

— Ależ ..

— Żadnego ale. Wiesz dobrze, że skoro mundur włożę na siebie, to domem moim, żoną i dzieckiem jest sokół.

Pani się uśmiechasz... a przecież jest w tym fanatyźmie urok przedziwny, jest siła elektryzująca, jest twórczość wielka, co sen w życie zmienia. Ten człowiek już osiem gniazd sokolskich założył.

Niestety, takich bronzowych postaci w tym tłumie nie wiele. Częstszym natomiast jest typ sokoła z różyczką, w eleganckich butach, w zgrabnie skrojonym mundurku, z ufryzowaną czupryną, podkręconym wąsikiem i złotym łańcuszkiem na amarantowej koszuli. W pochodach rzuca ten sokolski galant tęskne spojrzenie tam, gdzie z okien wychylają się uśmiechnięte twarze kobiece, i przeklina w duszy tysiąc razy zakaz naczelnika, by nie zbierać kwiatów sypanych pod nogi. Ach! gdyby mógł, obwiesiłby się niemi jak orderami kotyljonowy wodzirej.

Typ to pospolity i wcale nie ciekawy. Wiem, Szanowna pani, jak głęboko pogardzasz perfumowaną, czeredą pawi salonowych, i wiem, że paw sokolski tem większą obudzi w tobie odrazę. Pójdźmy więc dalej! Zbliżmy się do owego stolika, gdzie wśród grzmiących oklasków słychać głos mundurowego retora. To typ sokolskiego patetyka. Gdziekolwiek stanie, tam strzeli oracyą. W oczach jego błyszczą iskry zapału, w głosie gra muzyka energii i natchnienia, mówi o posłannictwie sokołów, o skarłowaceniu społeczeństwa, o braterstwie i subordynacyi, — porywa, zapala, entuzyazmuje. To teoretyk sokolstwa, niezbędny tam mianowicie, gdzie idea nasza ozdobiła ciało, lecz krwią i duszą jeszcze się nie stała. Na boisku nie ujrzysz go nigdy, lecz na wycieczkach, festynach, wieczornicach on wódz i bohater. Widzi Pani, jak rękę podnosi, słyszy pani, jak grzmią oklaski, — a teraz skończył, zdejmuje czapkę i prosi o składki na sztandar, na budowę sali gimnastycznej. Sypią się centy i korony, jakiś stary obywatel rzuca garść papierków, ktoś trzeci zbliża się: Panie, gdzie ja się mogę na druha zapisać?

Ten patetyk kruszy mur obojętności, mnoży drużyny, gromadzi kapitały sokolstwa.

Jeszcze chwilkę cierpliwości, Szanowna Pani, już podróż nasza zbliża się ku końcowi. Chciałbym ci jeszcze pokazać sylwetkę sokoła-biurokraty. Szukać go trzeba na posiedzeniach wydziałów, w komisyach organizacyjnych, w ciałach prawodawczych. To także w swoim rodzaju entuzyasta sokolstwa, — często więcej zapracowany niż gimnastyk lub retor, a zwykle pozbawiony efektownego uznania, głośnych oklasków i kadzideł tłumów. Cichy pracownik zna na pamięć wszystkie ustawy, czytuje sumiennie od deski do deski każdy numer „Przewodnika“, pisuje setki korespondencyi, redaguje odezwy, układa plany, czuwa nad każdym kółkiem wielkiej maszyny, jednem słowem to sokół biurowy, nieoceniony tam mianowicie, gdzie organizacya nie doczekała się jeszcze zupełnego wykończenia i nici rwą się lub plączą bezustannie. Zwykle krzywo się trzyma, mundur ma zaniedbany i okulary na nosie.

Wypadałoby na końcu zaprezentować typ gimnastyka — arystokraty, spoglądający z wysoka na każdego druha, który nie jest bywalcem boiska, mięśni żelaznych nie posiada, młyńców karkołomnych się lęka i munduru nigdy na trykot nie zmienia, — lecz zdaje mi się, że ta wędrówka po sokolskim świecie już znudziła towarzyszkę moją. Cóż począć? Interesujące momenty zlotu opowiedzieli Ci inni, więc nie pozostało mi nic innego, jak zadowolić się skromną rolą przygodnego portrecisty.

Być może, że kiedyś, gdy razem z Tobą słuchać będę łoskotu szumiących potoków i spoglądać na góry-olbrzymy, znajdę dla wspomnień swoich silniejsze i płomienistsze barwy, a wtedy raz jeszcze roztoczę znane Ci obrazy sokolskiego życia i dumać będę wraz z Tobą nad tym narodem, który jest kruchy jak wapień, a któremu twardości granitu potrzeba. Dziś jednak jestem daleki od Tatr, daleki od Ciebie, — znużony walką, pospolitością życia naszego, małym światem i małymi ludźmi. Zazdroszczę Ci gór, a górom zazdroszczę Ciebie.

Wypowiedziawszy tak zuchwałe słowo, należałoby się wzorem typowych feljetonistów coś szepnąć o wachlarzu, którym ręka Twoja śmiałka ukarać powinna. W samą porę przypominam sobie jednak, że Pani tam w Tatrach nie wachlarz, lecz siekierkę góralską piastujesz. Wilka z lasu wywołać nie pragnę, kończę więc bez wachlarza.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Zofja Kowerska. Na służbie. Powieść, 2 tomy. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 292 i 257.

Wychowana w zbytku i pieszczotach 23-letnia Alina Stamarska przekonywa się nagle, że w świecie trzeba ciężko pracować. Ojciec jej traci posadę i zamożnej rodzinie grozi nędza. Panna Stamarska jedzie więc „na służbę“, jako nauczycielka, do bogatego domu obywatelskiego na Litwie. Trafia tam do szczególnego środowiska: dziwaczna i despotyczna pani Skierczyna, tocząca ciągłą wojnę z zięciem Prędowiczem, wdowcem; stary mąż Skierczynej, nałogowy pijak i karciarz, rzucający się na nią ze scyzorykiem; syn Skierczynej, rozumny i zacny Juliusz, urzędowy narzeczony chorowitej Koci Kowzgirdówny; różne nieme figury przy stole, chytra bona francuzka i t. d. Przyjęta zrazu niegrzecznie, młoda „warszawianka“ zdobywa potrosze serca otaczających. Prędowicz, milioner, roznamiętniony jej wdziękiem, ofiaruje jej rękę i pieniądze, lecz ona go odrzuca. Kocia podejrzywa ją o niecne schadzki z narzeczonym i z trudnością daje się przekonać o jej uczciwości; jeden z kuzynów domu brutalnie ją zaczepia i dostaje odprawę. Po długich walkach wewnętrznych Juliusz Skierka zdołał nareszcie podbić serce nauczycielki i, zerwawszy z niekochaną Kocią, został jej narzeczonym. Fabuła nader prosta, jak zwykle u autorki; opowiadadanie płynne, jasne, serdeczne, typy zarysowane dość wyraźnie i tchnące prawdą życiową — oto zalety tej powieści. Pani Kowerska zachowuje w niepokalanej czystości zdrowe kobiece cechy swego talentu i dla togo powieść jej wywiera nader sympatyczne wrażenie na czytelnikach-mężczyznach.

S. H.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— W jednym z tygodników warszawskich czytamy: „W rozprawce poruszają się różnorodne kwestye, na punkcie których nie wolno być ignorantem“. „Na punkcie których...“ jest francuszczyzną, zamiast: „co do...“ albo „względem...“ Drugi błąd spoczywa w „poruszają się“, zamiast „autor porusza“, „poruszane są“, lub inaczej. W języku polskim czasowniki zwrotne dość rzadko w podobnych razach zastępować mogą bierne. Mówimy, gdy chodzi o zwrot nieosobisty: „Muzyki jego słucha się z przyjemnością“, ale błędnemi są takie frazesy, jak n. p.: „W książce tej mówi się o reformach“, albo „W artykule tym wykłada się nowy pogląd na...“ i t. p.

— Błędnie mówimy: *przyjąć udział* w czemś, zamiast *wziąć, brać udział; przepuścić*, zamiast *opuścić; oczyścić* (plac, miejsce), zamiast *opróżnić; mało tego, że..* zamiast *nie dość tego*, albo *nie dość na tem.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Kwestya nowej dyrekcyi teatru poznańskiego dotychczas nie jest jeszcze stanowczo rozstrzygnięta. Dowiadujemy się jednak, że rada nadzorcza krząta się nader energicznie około wyszukania odpowiedniej siły dyrekcyjnej i w tym względzie zawiązała już stosunki z kilku przedsiębiorcami. Kandydatami są: Edmund Rygier z Krakowa, Zygmunt Przybylski i Terentiew z Warszawy. — Lwowska opera, goszcząca obecnie w Krakowie, cieszy się wielkiem powodzeniem. Tryumf prawdziwy odniósł pan Bandrowski w Lohengrinie, a pani Zimajerowa czaruje po dawnemu amatorów w Nitouche. — O warszawskich występach p. Sosnowskiego, dawniejszego bohatera sceny poznańskiej, wyrażają się miejscowe dzienniki z najwyższem uznaniem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Abonent.** Istotnie! Nie zadrwiono sobie bynajmniej z Szanownego Pana, bo w Nr. 131 „Kuryera Poznańskiego“ z dnia 10 czerwca br. czytamy na trzeciej stronicy zdanie następujące: Po wystawieniu Najśw. Sakramentu **raczył Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz sam klęczyć przed Najśw. Sakramentem** i odprawić majowe nabożeństwo.“ Coraz lepiej! Wiedzieliśmy dotychczas, że car wyświadcza łaskę niedźwiedziowi, gdy według doniesień gazet rosyjskich „raczy go zabić własnoręcznie“. Teraz dowiadujemy się, że arcybiskup klęcząc przed Najśw. Sakramentem, wyświadcza łaskę Bogu tam utajonemu. Oj Kuryerze, Kuryerze! jakież ty przysługi oddajesz religii i Kościołowi! Cóż zresztą znaczy wyraz „sam“ („raczył sam klęczyć“)? Czy Kuryer mniema, że Bogu cześć można oddać przez jakiego delegata? A w końcu lekcya gramatyki: „Klęczyć“ oznacza według Lindego tyle co pokrzywić, zgiąć, np. „sklęczyć gałąź jak łuk.“ „Klęczeć“ znaczy na kolana upaść, np. „klęczeć przed ołtarzem.“

— **Autorowi wierszyka o lidze demokratycznej.** Wiele zapału i siły, forma jednak miejscami trywialna. Prosimy o inne próbki.

— **NN.** Korespondencya ta w części opiera się na faktach i cytatach tendencyjnie przekręconych, a w części na dziecinnem doktrynerstwie, nie umiejącem pojąć wymagań dyplomacyi na zewnątrz i na wewnątrz; dyplomacya taka jest niezawodnie mniej efektowna od „twardego karku“, lecz idei w samej rzeczy znaczniejsze, choć powolne oddaje korzyści. Zresztą wtajemniczeni znają dobrze główne motywy tej polemiki. Z małej duszy popłynęła ona — z duszy, w której króluje jedno tylko uczucie: chorobliwa próżność.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28